

Joanna
Skalska

Eremanta



Egzemplarz promocyjny
nie do sprzedaży



powergraph

Copyright © 2010 by Joanna Skalska
Copyright © 2010 by Powergraph
Copyright © 2010 for the cover by Rafał Kosik
Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redakcja: Michał Cetnarowski

Korekta: Maria Aleksandrow

Skład i łamanie: Powergraph

Projekt graficzny i okładka: Rafał Kosik

Dystrybucja:
Firma Księgarska Jacek Olesiejuk
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel./fax: 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl



Internet: www.amazonka.pl

Wydawca:
Powergraph Sp. z o.o.
ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa
tel./fax: 22 834 18 25, 22 834 18 26
www.powergraph.pl
e-mail: powergraph@powergraph.pl

ISBN 978-83-61187-15-8

Printed in Poland, EU

Wkrótce po tym, jak weszli w góry, dali się zaskoczyć zgrai lepiej uzbrojonych bandytów. Obrabowani z koni i map, pozbawieni orientacji w terenie, szybko zagubili się między identycznymi szczytami. Błąkali się przez kilka dni, aż któregoś wieczoru, wśród zapadających ciemności, dostrzegli chybotliwe światła w oknach Eremanty. Wieś wydała im się schronieniem zesłanym przez Boga.

Mrok, głód i zmęczenie przesłoniły im widok odrapanych budynków. Nie zwrócili też uwagi na nieruchome powietrze i panującą w wiosce wyjątkową ciszę. Młodzieńcza brawura sprawiła, że nie czekali na zaproszenie, tylko śmiało przekraczali progi kolejnych domostw, niemal domagając się jedzenia, napoju i noclegu.

Eremantczycy usadzili hałaśliwą gromadę przy stołach i zapewnili jej miejsce odpoczynku, ale z ich ust nie padło żadne słowo. Dziwne zachowanie gospodarzy uderzyło wędrowców dopiero rankiem i nagle zamglone górskie szczyty wydały im się swojskie i bezpieczne. Nie czekali więc nawet na śniadanie, ale mamrocząc szybkie podziękowania, wymknęli się z wioski. Został jedynie Pedro.

Mieszkańcy, swoim zwyczajem, nie okazali zdumienia, choć chłopak był pierwszym człowiekiem od wielu dziesiątków lat, który z własnej woli zechciał się między nimi osiedlić.

Pedro szybko nauczył się nowego życia. Zamieszkał w jednym z pustych domostw, jakich sporo znajdowało się w wiosce. Pierwszego dnia podreperował zniszczone meble, inne naprawy zostawiając na później. Nigdy już do nich nie wrócił – niebawem tak przywykł do wszechobecnego rozkładu, że przestał zauważać odpadający tynk i dziury w podłodze. Z rozległych połaci otaczających Eremantę winnych pól wydzielono dla niego spory kawałek gruntu. Radą przy pielęgnacji krzewów służył mu początkowo najbliższy sąsiad, jednak wkrótce pomoc Miguela Silvy stała się zbędna. Po roku, za pieniądze ze sprzedaży pierwszego wina, nabył dwie kozy, a dobre zbiory następnego lata pozwoliły mu dokupić kolejne trzy. Z roku na rok gromada zwierząt na jego podwórku rosła, aż wreszcie dorównała wielkością innym stadom w wiosce.

Niepostrzeżenie – również dla siebie – zaczął upodabniać się do nowych sąsiadów. Jego skóra pobladła, rysy nabrały surowości. Pewnego razu, kilka lat po przybyciu do wioski, goniąc za spłoszoną kozą, zapuścił się głębiej w otaczający pastwiska las. Wracając, napotkał

grupę żołnierzy, a wśród nich kilku dawnych towarzyszy. Minęli się na wąskiej ścieżce i niemal dotknęli ramionami, ale Pedro nie został rozpoznany. Stał się prawdziwym eremantczykiem. Były jednak rzeczy, których nie mógł się nauczyć, braku pewnych doświadczeń nie dało się nadrobić. Pedro patrzył na czyszczącą żałobne ubranie Ines i żałował, że nie wychowywał się w Eremancie. Być może wtedy wspomnienie babki i matki, które z taką samą troską pielęgnowały swoje suknie, rozwiałyby jego obawy. Być może przestałby przywiązywać do tego taką wagę. Może wiedziałyby, o czym rozmyśla żona.

Wesele Pedra i Ines, jak każde wesele w Eremancie, było ponurą uroczystością. Najpierw odbyła się krótka ceremonia kościelna. Nieudekorowana, słabo oświetlona świątynia sprawiała wrażenie opuszczonej. Ławki zajęte były ledwie w jednej trzeciej, choć stawiła się większość mieszkańców wioski. Ślubu udzielił ojciec Filipe Pereira, przyjezdny kapłan odpowiedzialny za wszystkie wsie w tej części gór. Już od kilku lat regularnie pojawiał się w Eremancie, sprawując posługę przy pogrzebach, chrztach oraz na weselach, i zdążył nieco przywyknąć do tego, że niezależnie od okazji tutejszy kościół wypełniały rzędy jednakowo smutnych twarzy.

Po ślubie zgromadzeni udali się do domu Pedra, gdzie zasiedli za specjalnie rozstawionymi stołami. Poczęstunek był skromny – zupa *callos* oraz gulasz – i niewiele różnił się od codziennego posiłku. Na deser podano przygotowane przez pannę młodą *pastel de nata*, a wino dostarczył Miguel Silva. Mijał właśnie szósty rok pobytu Pedra w wiosce, ale wino jego produkcji wciąż nie osiągnęło odpowiedniej jakości. Dla kupców z miasta było wystarczająco dobre; miało ten sam głęboki kolor, właściwy całej eremantkiej odmianie, ten sam aromat

i smak. Pedro nigdy nie miał kłopotów z uzyskaniem za nie odpowiedniej ceny. Jednak mieszkańcy wioski wyczuwali w nim jakąś fałszywą nutę i po pierwszym łyku odsuwali kubek. Pedro był więc wdzięczny sąsiadowi za dar.

Biesiadnicy siedzieli w ciszy, a ich oblicza były posepne i znużone. Szybko opróżniali stojące przed nimi talerze. Pedro również starał się nie okazywać emocji. Od czasu do czasu zerkał na świeżo poślubioną żonę i jej twarz przysłoniętą trzema warstwami welonu. Zgodnie z obyczajem założył go na głowę panny młodej jej ojciec, a po zakończeniu kolacji zaszczyt jego zdjęcia miał już należeć do męża. Owinięta w białe zwoje Ines nie uczestniczyła więc w posiłku. Wyprostowana i nieruchoma, wyglądała jak widziadło, które przysiadło się do stołu bez wiedzy gości. Pedro spoglądał na jej ledwo widoczne rysy, ale myślami wracał do nocy, kiedy po raz pierwszy znalazł się w Eremancie.

Leżał na jednej z drewnianych ław rozstawionych na werandach eremanckich domów. Wokół spali jego towarzysze, ale on nawet nie zmrużył oka. Opuściło go zmęczenie, a cisza drażniła uszy. Z tęsknotą pomyślał o szumie morza, który w rodzinnym mieście kołysał go do snu. Przypominał sobie krzyki mew oraz chłodny wiatr wiejący od oceanu, orzeźwiający nawet w środku upalnego lata. Tutaj wszystko było inne. I choć Serra Maladeta znajdowała się w środku tego malutkiego kraju, oddalona ledwie o kilka dni marszu od północnej części wybrzeża, Pedro poczuł się, jakby dotarł na kraniec świata. Myśl o dalszej wędrówce przeraziła go. Pragnienie przygód, które sprawiło, że wyruszył na wojnę, przybladło już wcześniej, kiedy okazało się, że większość zdarzeń, jakie ich spotykały, nie było

ani pomyślnych, ani przynoszących chwałę. W ułamku sekundy zdecydował. Nie pójdę dalej. Wróć do domu.

Pedro nie był tchórzem. Kiedy zostali bez map i zapasów żywności, część spośród jego towarzyszy zaczęła nawoływać do powrotu. Sousa gwałtownie sprzeciwił się tej propozycji, a jego gorące słowa ponownie zjednoczyły oddział. Od tamtej pory koledzy traktowali go jak przywódcę. Jednak tej nocy w Eremancie Pedro po raz pierwszy poczuł strach. Nie potrafił powiedzieć, czego dokładnie się bał. Gór? Wędrówki? Oczekującej go wojny? Śmierci? Przekreślał się na twardym eremackim posłaniu, ale w wyobraźni widział już, jak znów wypływa łodzią na połów albo skacze w największą głębinę morskiej zatoki. Na wargach poczuł smak słonej wody.

Jakiś hałas zakłócił jego rozmyślenia. Rozejrzył się. Pierwszy poblask świtu dopiero zaczął rozjaśniać pobliskie budynki. Wioska pogrążona była we śnie i tylko... Pedro uniósł się na łokciu. Wydało mu się, że w głębi ulicy dostrzegł znikającą sylwetkę. Ruszył w tamtą stronę.

Długo błądził wśród pustych uliczek. Nikogo nie spotkał i w końcu uznał, że od początku śledził jedynie własne przywidzenie. Szedł jednak dalej, nie chcąc wracać między śpiących kompanów. Wkrótce linie domów po dwóch stronach uliczki urwały się, robiąc miejsce dla przestronnego placu. Tu znajdowała się gospoda oraz bank – teraz opustoszałe i zrujnowane, tylko wyblakłe szyldy świadczyły o niegdysiejszym przeznaczeniu budynków. Tu też stał kościół, a przed jego wejściem wznosił się wysoki krzyż z drewnianą figurą Chrystusa. Pod figurą klęczała ciemna postać.

W świetle budzącego się dnia Pedro zobaczył złożone ręce oraz czarne, spływające po bokach ukrytej twarzy włosy. Kobieta pogrążona była w modlitwie.

Chłopak zaczął wycofywać się z placu. Ostrożnie, krok po kroku. Już niemal sięgał wylotu uliczki, z której wcześniej nadszedł, kiedy pod jego nogą trzasnęła wysuszona gałązka. Postać pod krzyżem gwałtownie uniosła głowę, jej oczy spoczęły na sylwetce mężczyzny. Trwało to może sekundę – dziewczyna natychmiast się poderwała i znikła za przylegającymi do kościoła zabudowaniami.

Pedro stał tam jeszcze chwilę, z pękniętą gałązką wciąż pod podeszwą buta. Wreszcie ruszył w stronę kościoła. Pod krzyżem zobaczył bukiet polnych kwiatów i nachylił się, aby dotknąć pokrytych rosą liści.

Godzinę później obudzili się jego towarzysze i Pedro nie zwlekał z poinformowaniem ich o swoim wyborze. Nie kryli zdziwienia, ale też nie próbowali odwieść go od powziętej decyzji. Pozostawał w wiosce. Pożegnali się szybko i wkrótce o nim zapomnieli, zajęci pokonywaniem nowych przeszkód, które przygotowały dla nich góry, a potem wojna. Tylko czasem, przy ognisku, wspominali chłopaka, który wyruszył razem z nimi, ale jakieś zdarzenie – czy może wypadek? – zatrzymało go w drodze. Nie potrafili przypomnieć sobie jego twarzy, nie byli nawet pewni, jak brzmiało jego imię. Wojna przemieniła ich wspomnienia i okryła mgłą wszystko, co wydarzyło się przed nią.

Sześć lat później Pedro patrzył na przysłoniętą ślubnym welonem żonę i widział dziewczynę modlącą się pod krzyżem. Była wciąż młoda i tak samo piękna, czas nie odcisnął na twarzy Ines żadnego śladu. Natomiast Sousa zmienił się nie do poznania, nie tylko fizycznie. Dawniej uwielbiał bawić się i ucztować. Teraz, jak prawdziwy eremantczyk, w ciszy skubał porcję *pastel de nata*.

Po deserze biesiadnicy zaczęli się rozchodzić. Tutejsze przyjęcia nigdy nie trwały długo, jakby milczenie w więk-

szym gronie było krępujące nawet dla eremantczyków. Pan młody po kolei odprowadzał każdego z gości do drzwi. Wreszcie zostali tylko we dwoje.

Jeśli nie liczyć krótkiej chwili przed kościołem, sześć lat wcześniej, Pedro i Ines nigdy nie spędzili sami choćby minuty. Nawet w okresie narzeczeństwa jedyne, na co pozwalał obyczaj, to niedzielne wizyty w rodzinnym domu Ines. Co tydzień Pedro zasiadał więc w zakurzonym salonie Gomezów, a wokół niego gromadził się wianuszek krewnych przyszłej żony: rodzice, dziadkowie i rodzeństwo. Ona sama zajmowała jedno z bardziej oddalonych krzeseł, a jej uwagę pochłaniało haftowanie i Pedro nie miał śmiałości, aby zwrócić się do niej choć jednym słowem. W istocie nie miał śmiałości, żeby odezwać się do kogokolwiek, więc popołudnia te mijały w ciszy, przerywanej jedynie skrzypnięciami bujanego fotela Marii Anity, babki Ines i seniorki rodu Gomezów. Po jakimś czasie staruszka zasypiała i skrzypnięcia ustawały, a Pedro odczytywał to jako znak, że wizyta dobiegła końca. Wstawał, kłaniał się i wychodził.

Z tygodnia na tydzień nowe, przeznaczone dla narzeczonej, a wciąż niewypowiedziane słowa gromadziły się w jego głowie. Układał całe opowieści o swoim mieście, rodzinie, dawnych przyjaciółach. I o morzu, przede wszystkim o morzu. Domyślał się, że tak jak wszystkie kobiety ze wsi, Ines nigdy nie opuściła Eremanty i jedyny krajobraz, jaki знаła, to zachodzące na siebie górskie szczyty. Dlatego wyjątkowo starannie dobierał w myślach słowa, aby jak najlepiej oddać niezmierny bezkres oceanu, jego kolory, zapachy i dźwięki.

Zamykając drzwi za ostatnim weselnym gościem, postanowił, że od tego właśnie zacznie, że najpierw opowie Ines o morzu. Zdjął jej welon, przyglądał splecione

końcówkami muslinowej tkaniny włosy i złapał żonę za rękę. Dziewczyna poddawała się tym gestom bez sprzeciwu. Drgnęła, dopiero kiedy usłyszała jego głos.

Pedro mówił powoli. Przygotowane zdania przyplływały do niego falami i teraz przebierał tylko między nimi, czasem upiększając dodatkowym słowem. Opowieść toczyła się gładko. A jednak reakcja Ines sprawiła, że chłopak zaczął gubić rytm. Dziewczyna wbiła wzrok w podłogę i choć stała nieruchomo i posłusznie, coś w jej postawie wyrażało protest, a zaciśnięte wargi – Pedro z przerażeniem zdał sobie sprawę – skrywały zażenowanie. Urwał. Jeszcze przez chwilę Ines stała bez ruchu, ze szczupłymi palcami wciąż w uścisku spracowanych męskich dłoni. Wreszcie uwolniła ręce i wyszła z pokoju. Pedro został sam. Do jego uszu dotarło skrzypnięcie wyjściowych drzwi.

Przez chwilę nie myślał o niczym. Stał i patrzył na leżące na stołach resztki jedzenia. Nie tak wyobrażał sobie pierwsze chwile małżeństwa, kiedy rok wcześniej prosił ojca Ines o rękę dziewczyny. Długo zbierał się na odwagę. Czekał pięć lat, podczas których ciężko pracował, by zostać prawdziwym eremantczykiem i mężczyzną godnym ręki tutejszej kobiety.

Kiedy Ines wróciła do domu, w rękę trzymała kuferek. Spojrzała na wciąż stojącego pośrodku pokoju męża i zniknęła w sąsiedniej sypialni. Pedro drgnął, przesunął się tak, aby przez uchylone drzwi widzieć jej sylwetkę. Ines postawiła kuferek na podłodze, wyjęła ze środka biały prostokąt i ułożyła go w szufladzie komody. Pedro zrobił jeszcze jeden krok. Tak, to była wyprawa – haftowana pościel, bielizna i obrusy, nad którymi Ines z taką skrupulatnością pracowała przez okres narzeczeństwa.

Wreszcie kuferek został opróżniony. Kobieta wróciła do pokoju, z którego obserwował ją mąż, i zabrała się do sprzątanania ze stołów. Dołączył do niej Pedro. Bez słowa podzielili się zadaniami. On przynosił nakrycia z dalszych stołów, a ona zrzuciła z nich resztki jedzenia i odkładała talerze na jedną stertę. Ich ręce poruszały się sprawnie i szybko i tylko umysł mężczyzny pracował ciężko, powoli, wymazując słowa wszystkich historii, które wcześniej przygotował. Wiedział już, że były niepotrzebne.

Powietrze, woda i pożywienie – ponoć tylko te trzy rzeczy są niezbędne do życia. Istnieją jednak tacy, którzy dołączyliby do tej listy gęś upieczoną z jabłkami, szklanek piwa albo uncję dobrego tytoniu. Inni wspomnieliby o śnie, odzieniu i dachu nad głową. Może ktoś napomknąłby o sztuce albo filozofii. Jeszcze ktoś o zwykłym, codziennym świętym spokoju. Jednak nikomu nie przyszłoby na myśl, aby uzupełnić to zestawienie o słowa. Wymiana informacji i myśli zdaje się nam tak naturalna, że jej nie zauważamy. Czy niezbędna? Przysłowiowy sąsiad wdowy powie zapewne, że bywa kłopotliwa i całkiem niepożądana.

Ale zamknijmy przysłowia wewnątrz lustrzanego kufereka, gdzie ich właściwe miejsce. Każdy, kto zawiąże wokół ust chustkę i w ten sposób spróbuje spędzić jeden dzień, wykonując zwykłe zajęcia i obowiązki, już po pierwszej godzinie pojmie, jak nieodzowna jest mowa.

I tylko w Eremancie słowa były bezużyteczne. Tam zbyteczne okazywały się również muzyka, śmiech, taniec i nowe budynki. Oraz pieniądze.

Ojciec Pedra, Benedito Sousa, należał do najbogatszych ludzi w swoim mieście. Morze mu sprzyjało

i nigdy nie wracał na brzeg z pustą łodzią, a w jego sieci łapały się najtłustsze okazy. Inni rybacy uważnie obserwowali poczynania Benedita. Kiedy wypływał na połów, wyruszali za nim; swoje sieci zarzucali tuż obok jego. Jednak ich starania nie przynosiły oczekiwanych rezultatów. Ocean trzymał stronę Sousy, między pozostałych rybaków dzieląc jedynie resztki, które nie zmieściły się w sieciach ulubieńca.

Majątek Sousy rósł. Wystarczył na zakup nowego domu oraz zapełnienie jego pokoi drogimi meblami i dywanami. Wystarczył na wspaniałe suknie dla czterech córek, a wreszcie na hulanki jedynego syna.

Pedro znany był w całej okolicy ze swej rozrzutności. Tak jak śladem ojca zawsze podążali rybacy, tak wokół syna krążyła ławica jego rówieśników, którzy wiedzieli, że towarzystwo młodego Sousy gwarantuje darmowe wino oraz dobrą zabawę. Renata Sousa zamartwiała się lekkomyślnością syna i codziennie modliła w jego intencji do Marii Panny. Ale kiedy Pedro oznajmił, że wyrusza na wojnę, pod matką ugięły się nogi. Nie oczekiwała, że Najświętsza Paniienka w ten sposób odpowie na prośby.

Przed rozpoczęciem wyprawy Benedito zaopatrzył Pedra w wypełniony realami woreczek. W sakwie znalazła się mała fortuna, suma, jaką mniej zamożni rybacy przeznaczali na posag dla córek, więc kiedy kilka tygodni później po przypięty do pasa Pedra worek sięgnęli bandyci, ich oczy rozbłysły na widok znajdujących się w środku monet.

Dla zbirów był to wyjątkowo łakomy kąsek, bo chociaż Serra Maladeta roiła się od spieszących na wojnę młodzieniaszków, a niedoświadczeni rekruci stanowili łatwy cel, to mały wysiłek szedł tu w parze z niewielkim zyskiem. Łupem bandy padało zazwyczaj kilka, a w naj-

lepszym razie kilkanaście monet, posrebrzane medaliony z obrazkami Matki Boskiej i sygnety z tombaku. Mało kto wybierał się na wojnę z takim bogactwem jak młody Sousa.

Cała grupa natychmiast znalazła się w centrum zainteresowania bandytów. Odebrano im nie tylko sakwę Pedra, drobne pieniądze, święte medaliony i fałszywe sygnety, ale również zapasy żywności, mapy oraz naboje, zostawiając jedynie puste i bezużyteczne strzelby. Rabusie dobrze zabezpieczyli się przed pogonią, wychodząc z założenia, że nikt nie rozstaje się łatwo z taką mnogością błyszczących realów.

A jednak Pedro bez żalu patrzył, jak zawartość sakwy znika w kieszeniach bandytów. Przywykł do tego, że każde wydane, zgubione czy w inny sposób stracone pieniądze łatwo dawało się uzupełnić z nieograniczonego kapitału ojca. Nie mógł przewidzieć, że już nigdy nie będzie w posiadaniu choćby ułamka sumy, którą stracił tamtego dnia.

W Eremancie pieniądze nie miały racji bytu. Tu nie istniały sklepy czy gospody. Nie było targu, a po banku został tylko pusty budynek z wyblakłym szyldem. Mieszkańcy mieli niewielkie potrzeby. Pożywienie zapewniały im kozy i własne ogródki, a choć niekiedy sąsiedzi wymieniali się między sobą plonami, to zawsze robili to w najprostszy sposób: cebula za fasolę, kapusta za kozi ser. Tkaniny, naczynia i inne domowe sprzęty kupowano na targu, podczas corocznej wyprawy do Vila Famalio. Wtedy też na krótką chwilę w kieszeniach mężczyzn z Eremanty pobrzękiwały reale.

Podróż na targ co roku wyglądała tak samo. Mężczyźni opuszczali wioskę wcześniej rano, by wieczorem dotrzeć na obrzeża miasta, gdzie nocowali

w oberży, zawsze tej samej. Właściciel zajazdu zamiast zapłaty przyjmował od nich antałek wina, a pozostałe beczki znajdowały równie chętnych nabywców następnego dnia, na targu w centrum miasta. Eremantczycy nie żądali za nie wiele, z pewnością mniej, niż gotowi byli zapłacić kupujący. Zarobione pieniądze nieufnie obracali w dłoniach. Potem rozglądali się po sąsiednich straganach, wypatrując potrzebnych w wiosce towarów, a kiedy przychodziło do płacenia, z niepewnością ofiarowywali błyszczące krążki, jakby nie wierzyli, że mogą za nie cokolwiek dostać. Po zakończonych zakupach mężczyźni ruszali w drogę powrotną, ale zanim opuścili miasto, zatrzymywali się w budynku magistratu, gdzie pod pozorem inkasowania podatku zabierano im pozostałe pieniądze.

Swego czasu, jeszcze zanim wprowadzono ten podatek, tak skutecznie opróżniający kieszenie eremantczyków, wioska była powodem wielkiego zmartwienia burmistrza Vila Famalio, Ernesta Silveiry. Burmistrz, jak każdy człowiek na wysokim stanowisku, nie mógł ścierpieć, kiedy podlegający mu ludzie robili, co chcieli, ze swoimi realami. Przypadek eremantczyków wyjątkowo kłuł w oczy: raz do roku zjawiali się w mieście, w ciągu kilku godzin sprzedawali cały towar, a zarobek, całkiem spore sumy, na zawsze zabierali w najodleglejszy zakątek prowincji. Pieniądze, które mogłyby tworzyć bogactwo całego miasta – a dokładniej: majątek burmistrza – znikwały w skrzyniach dalekiej Eremanty. Wioska, o której istnieniu mało kto w Vila Famalio wiedział, znalazła się w centrum uwagi burmistrza.

Wkrótce Ernesto nie mógł myśleć o niczym innym, tylko o monetach w kieszeniach mężczyzn z Eremanty. W bezsenne noce błąkał się po pokojach magistratu,

wertując księgi i archiwa sądowe. Nie wiedział, czego właściwie szukał. Może dawnego wyroku albo zapomnianego rozporządzenia, czegokolwiek, co pomogłoby mu zagarnąć pieniądze eremantczyków. Kiedy poszukiwania nie dały rezultatu, Silveira skonsultował się z zaprzyjaźnionym alkadem sąsiedniego miasta. Potem zasięgał rady u gubernatora prowincji, co przyniosło taki efekt, że o „sprawie Eremanty” wspomniano raz czy dwa w przestronnych salach najważniejszych urzędów stolicy. Podobno ktoś słyszał, jak nazwa wioski pada z ust samego króla.

Trudno odgadnąć, na którym dokładnie szczeblu władzy zrodziło się rozwiązanie. Być może sam Ernesto Silveira, osoba najbardziej zainteresowana, wpadł na ten pomysł. Jedno było pewne: do dziesiątek dekretów i rozporządzeń, obowiązujących w powiecie Vila Famalio, wkrótce dołączyło postanowienie o podatku od niewykorzystania. Zasada była prosta: podatek płacili ci, którzy nie korzystali z dróg i urzędów, mostów i traktów, i innych zapewnianych przez powiat dóbr lub wygod. Tym samym karano – jak głosił dekret – „umyślne marnotrawienie pieniędzy podatników i wysiłku urzędników”. Po krótkiej naradzie w magistracie uznano, że większość miast, wsi i osad prowincji nie jest winna tak nagannego postępowania. Została jedynie Eremanta, a wtedy na jej mieszkańców nałożono jedną, wspólną opłatę.

Poszukiwania nazwisk eremantczyków zakończyły się bowiem fiaskiem. Skonsternowani urzędnicy przetrząsnęli rejestry narodzin i śmierci, ale żaden wpis nie dotyczył Eremanty. Dopiero jeden z sekretarzy przypadkiem, w nieużywanym skrzydle magistratu, natknął się na zakurzoną skrzynię, a w niej na stos starej korespondencji między władzami miasta a sołtysem wsi. Część listów była

tak stara, że pod wpływem dotyku rulony rozsypywały się w proch. Niektóre tak wyblakły, że niemożliwe stało się odcyfrowanie choćby jednego słowa. Tylko drobny ułamek dokumentów przetrwał w stanie umożliwiającym odczytanie, ale jego zawartość okazała się zadziwiająca. Listy zawierały ustalenia o budowie drogi między Eremantą a Vila Famalio; sprawozdania z zebrań gildii kupieckiej; wnioski o finansowanie zadaszonego targowiska. Przed oczami urzędników wyłonił się obraz dostatniej i pulsującej życiem wioski. A jej sołtysi – ich imiona zmieniały się na przestrzeni lat, ale wszyscy nosili to samo nazwisko Barros – zdawali się mieć wiele do powiedzenia w sprawach dotyczących całego regionu. Ostatni znaleziony list sięgał czasów sprzed stu lat. Później – nic, ani jednej wzmianki w archiwach, jakby wioska zniknęła z powierzchni ziemi i nikt już nigdy się w niej nie narodził, nie umarł, nie szukał sprawiedliwości u miejskiego sędziego. Doprawdy, nikt nie zasłużył bardziej na podatek od niewykorzystania niż mieszkańcy Eremanty.

Mężczyźni z wioski nie protestowali, kiedy w następnym roku na targu powiedziano im o nowym podatku. Poszli do magistratu i zapłacili wyliczoną przez skarbnika sumę. Z biegiem lat należność rosła. Oficjalne wyjaśnienie podwyżki mówiło, że wraz ze stałą rozbudową infrastruktury prowincji wzrasta jej niewykorzystanie przez eremantczyków. Wreszcie któregoś razu mężczyźni wrócili z wyprawy na targ z całkiem pustymi kieszeniami, a burmistrz Ernesto Silveira przestał cierpieć na bezsenność.

Dwa lata po ślubie Pedra i Ines urodziła się dziewczynka, której dali na imię Teresa. Rok później przyszedł na świat Guido. Narodziny drugiego dziecka były długie

i trudne. Pedro nigdy nie został poinformowany o istocie komplikacji ani o tym, w jakim stopniu zagrażały one Ines, ale były chwile, kiedy obawiał się, że już nigdy nie zobaczy żony żywej.

Zaczął się tak jak za pierwszym razem: dwie eremanckie kobiety, pełniące rolę położnych, stanowczym gestem wyprosiły go z domu. Tak jak poprzednio sąsiad Miguel Silva wystawił też na werandę dodatkowe krzesło. Z tego właśnie krzesła Pedro obserwował zamknięte drzwi i okiennice swojego domu.

Czekał cały dzień i całą noc. Patrzył, jak kolejne pary kobiet zastępowały te, które przy łóżku rodzącej spędziły już długie godziny. Ze zmęczonych twarzy udających się na spoczynek akuszerki próbował odczytać wiadomość o przebiegu porodu. Najbardziej niepokoiła go cisza, która panowała wewnątrz domu.

Trzy lata małżeństwa przyniosły Pedrze sporo rozczarowań. Osądzając według eremanckich norm, Ines można było nazwać żoną idealną: podłoga w ich domu była zawsze zamieciona, w ogródku rosły warzywa, a każdego wieczoru na stole czekała ciepła kolacja. A jednak Pedro zdawał się pragnąć czegoś więcej. Zapytany, na pewno nie potrafiłby wyrazić w słowach swoich oczekiwań, gdyby jednak ktoś uparcie domagał się odpowiedzi, być może w końcu wydukałby, że Ines wciąż jest dla niego niedostępna i onieśmielająca – zupełnie jak kiedyś, podczas niedzielnych wizyt w okresie narzeczeństwa.

Dopiero tamtej nocy, kiedy czuwał na werandzie sąsiada, zrozumiał, że nie doceniał szczęścia jednakowych dni i wieczorów, których ciszę mąciły jedynie odgłosy krzątania żony. Przecież właśnie o tym marzył. Na to czekał przez pięć długich lat, pracując tak ciężko, jak nigdy nie musiał żaden z jego przodków rybaków.

A przecież nawet po tych pięciu latach, kiedy wreszcie zdobył się na odwagę, aby poprosić o rękę Ines, wcale nie był pewien, jak przyjmą go Gomezowie. Zamiast zgody przewidywał drwinę albo, jeszcze gorzej, milczenie. Tymczasem ojciec Ines kiwnął głową.

„Niech tak będzie”, powiedział i przesunął się, robiąc dla młodego Sousy miejsce na ławie.

Oświadczyzny zostały przyjęte, Pedro właściwie należał już do rodziny i mógł usiąść na werandzie Gomezów.

Minęła noc, a z pokoju rodzącej nie dobiegł żaden dźwięk. Nad ranem, o tej samej szarej godzinie, o której kiedyś wstał z twardego pośłania i ruszył za przemykającą między domami Eremanty sylwetką, Pedro przysiągł sobie, że nigdy więcej w jego myślach nie powstanie nawet najmniejsza skarga na żonę.

Drugiego dnia w południe rozległ się krzyk dziecka. Za chwilę urwał się i powróciła cisza. Wiedział, że to normalne. To samo wydarzyło się przy narodzinach Teresy: niemowlę najpierw płakało, a po kilku oddechach eremackim powietrzem ucichło. Zresztą to nie zdrowie dziecka martwiło teraz Pedra. Zeskoczył z werandy sąsiada i choć w mgnieniu oka znalazł się przed swoim domem, nie miał odwagi wejść. Czekał, aż w progu pojawi się położna. Jednak minuty płynęły, a drzwi wciąż pozostawały zamknięte. Pedro, nie mogąc dłużej opanować zdenerwowania, wkroczył do środka.

W kuchni akuszerka, nachylona nad balią z gorącą wodą, uniosła zaczerwienioną twarz. Druga kobieta przechodziła korytarzem i zdołała chwycić go za rękaw. Wyrwał się bez trudu, przystając dopiero w progu sypialni. W pokoju było ciemno, tylko przez szpary w zamkniętych okiennicach wpadały smugi słonecznego światła. Poza tym wszystko wyglądało jak zawsze, Pedro nigdzie nie

dostrzegł zakrwawionych prześcieradeł ani innych śladów po zakończonym porodzie. Ines leżała w łóżku, a obok niej spoczywało małe, wierzące się zawiniątko. Na twarzy żony, jeszcze bledszej niż zazwyczaj, zobaczył zdumienie.

Znieruchomiał. Przez lata podglądał ją ukradkiem, podpatrywał, jak gotowała posiłki albo czyściła żałobne ubranie. Czasem, kiedy bawiła się z malutką Teresą, udawał, że pochłania go jakieś zajęcie w drugim kącie pokoju i dopiero po chwili odwracał się raptownie w stronę żony. Ale nawet te sztuczki nie przynosiły rezultatu i Pedro nigdy nie dostrzegł żadnego gestu czy grymasu, który zdradziłby myśli Ines. Tymczasem teraz...

Niemowlę przestało wymachiwać rączkami. Pedro zastanawiał się, co oznacza reakcja dziecka. Solidaryzuje się ze zdumieniem matki czy ojca?

Minęła chwila, zanim na twarz Ines powróciło opanowanie, a Pedro wycofał się z pokoju. W korytarzu czekały już na niego położne. Odprowadzany ich surowymi spojrzeniami, wyszedł z domu, zdając sobie sprawę, że nie zna płci nowo narodzonego dziecka. Pomarszczona twarz niemowlaka mogła należeć zarówno do chłopca, jak i dziewczynki.

Przysięgi, którą złożył tamtej nocy, dotrzymał przez wiele lat. Przestał podpatrywać Ines, już nie pragnął za wszelką cenę dowiedzieć się, co czuje. Po prostu cieszył się każdym dniem spędzonym w jej milczącym towarzystwie. Dopiero na starość wróciły do niego młodzieńcze wątpliwości. I znów, gdy patrzył na żonę, dręczyło go pytanie, co naprawdę kryje się za jej spokojem.

Pedro cieszył się z narodzin syna. Tak jak zdarzało się po przyjsciu na świat pierwszego dziecka, wymykał

się w południe z winnicy i ukradkiem, aby nie spostrze-
gła go pracująca w ogrodzie żona, przekradał do domu,
gdzie spało niemowlę. Tam nachylał się nad kołys-
ką, podziwiał kruchość leżącej w niej istotki. Potem
rozpoczął opowieść. Mówił o swoim dzieciństwie,
o grach i wyścigach, jakie urządzał wraz z kolegami na
plaży. Słowa, które kiedyś przygotował dla Ines, wra-
cały teraz, jedno za drugim, układając się w opowieści
o morzu i jego mieszkańcach: rybach, krabach oraz
legendarnych podwodnych bestiach. To właśnie ruchy
tych bestii, kiedy głodne wypływały z kryjówek na żer,
wywoływały sztormy. W ich paszczach znikali zapóź-
nieni rybacy, którzy zlekceważyli wczesne oznaki zbli-
żającej się burzy.

Czasem niemowlę otwierało oczy. Pedro milkł wtedy
z obawy, że dziecko wybuchnie płaczem, który sprowa-
dzi Ines. Ono jednak leżało cicho. Wyglądało na zadowo-
lone, a jego spojrzenie utkwione było w znów zaczynają-
cych się poruszać wargach ojca.

Mniej więcej rok po narodzinach chłopiec prze-
szedł gwałtowną przemianę: z pulchnego niemowlęcia
przekształcił się w posępną miniaturkę przeciętnego
eremantczyka. Delikatne rysy nagle, niemal z dnia na
dzień, nabrały ostrości, różowe policzki wyblakły, a oczy
zasnuły się mgłą smutku, jakby jakieś zmartwienie spad-
ło na dziecięce barki. Przeobrażenie Guida właściwie nie
zaskoczyło Pedra – wcześniej dokładnie to samo wyda-
rzyło się z Teresą. A jednak widok odmienionego syna,
tak jak niegdyś córki, napawał go lękiem. Wszystko, co
budziło jego tkliwość, znikło i Pedro nie potrafił pozbyć
się wrażenia, że dziecko umarło, a jego miejsce zajęła
obca istota. Opowieści, które w południowe godziny
ciągnął nad kołyską, urwały się.

Kolejne lata pogłębiały wrażenie obcości. Teresa i Guido rośli, nie przysparzając ani kłopotów, ani radości. Przyzwyczał się do ich obecności, która nie budziła już w nim żadnych uczuć. Nie zmieniło się to nawet wtedy, kiedy chłopak dorósł na tyle, aby spędzać z ojcem całe dnie, pomagając przy kozach lub w winnicy. Minęło kilka dalszych lat i Guido po raz pierwszy wyruszył wraz z Pedrem na coroczną wyprawę na targ. Również wspólna podróż, niewygody i dziwne uczucie osamotnienia, jakie spadło na nich po opuszczeniu wioski, nie zmieniły relacji między ojcem a synem. Dla Pedra chłopak do końca pozostał tylko cieniem dziecka, nad którego śpiącą główką snuł opowieści o morzu i rybakach. Do końca, czyli do dnia, kiedy osiemnastoletni Guido zniknął z Eremanty.

Ten rano zaczął się jak zwykle. Pedro wstał, ubrał się i czekał, aż Ines i Teresa, wtedy już prawie dwudziestoletnia, skończą przygotowywać śniadanie. Nie zauważył w ich krzątaniu niczego niezwykłego, zresztą myślami był już przy jednej z kóz, która od kilku dni kuląła. Choć dawno minęły czasy, kiedy Pedro musiał udowodniać swoją wartość jako eremancki gospodarz, a jego stado należało obecnie do największych w wiosce, utrata jednego zwierzęcia byłaby dla niego tak samo trudna do zniesienia jak wtedy, kiedy miał ich zaledwie kilka.

Znad pieca unosił się zapach smalcu i cebuli. Pedro oderwał wzrok od okna i usiadł przy stole. Jego uwagę zwróciła liczba nakryć: zamiast czterech, na blacie stały trzy talerze. Podniósł głowę i zobaczył czarne stroje żony i córki.

Przez chwilę doświadczał wrażenia, że to on sam umarł, a jego duch zamarudził nieco w ziemskim domu, aby obserwować żalobę rodziny. Uniósł rękę, czując nie-

zwykłą lekkość, jakby jej cielesność była tylko złudzeniem. Więc to tak, pomyślał. Spojrzenie Ines prześlizgnęło się po nim jak po powietrzu i ogarnął go żal, że nie zdążył jej zapytać, że nigdy się nie dowiedział...

Teresa rozdzieliła smażone jajka, jeden talerz przesunęła w stronę ojca, obok położyła łyżkę. Pedro z całej siły zacisnął wokół niej palce; metal łyżki werznął się w skórę. Guido, to jednak Guido – wreszcie dotarł do niego powód żałoby kobiet. Poczował ulgę, a zaraz potem wstyd. Żeby ukryć sprzeczne uczucia, które – nie wątpił – musiały malować się na jego twarzy, wstał i poszedł do pokoju syna. Pomieszczenie było puste.

Wracając, dostrzegł stos własnych ubrań żalobnych. Rozłożone i odświeżone, czekały na niego na łóżku w sypialni. Miał je na sobie, kiedy siadał z powrotem przy stole w kuchni. Śniadanie było gotowe i stygło na talerzach. Ines i Teresa siedziały na swoich miejscach, czekając na znak do rozpoczęcia posiłku. Sięgnęły po łyżki, dopiero kiedy zrobił to Pedro. Twarz mężczyzny znowu była spokojna i opanowana.

Po zniknięciu Guida na Pedra znów spadły wszystkie gospodarskie obowiązki. Jeśli więc czasem brakowało mu syna, to tylko z powodu jego młodych i sprawnych rąk. Niekiedy aż dziwił się własnej obojętności. Próbował wzbudzić w sobie odrobinę żalu, myśląc o krótkim życiu chłopaka. Osiemnaście lat – wiek niezwykły nawet na Eremantę. Niemal nie zdarzało się, aby mężczyzna doczekał tutaj starości, ale większość żyła na tyle długo, by ożenić się i mieć dzieci. Dopiero wtedy znikali. Pedro pomyślał o mężczyznach z rodziny Gomezów: ojciec Ines zniknął rok po jego ślubie, Victor, starszy brat, niedługo później. Potem przyszła kolej na Miguela Silvē. Pedra nie łączyły z nim żadne więzy

rodzinne, ale doskonale pamiętał okoliczności jego odejścia.

Właśnie dojrzały winogrona. Słoneczna wiosna sprawiła, że było ich tamtego roku wyjątkowo dużo. Wieczorem drugiego dnia po rozpoczęciu zbiorów Pedro wymienił z sąsiadem zatroskane spojrzenie. Obaj martwili się, że nie zdążą zebrać wszystkich owoców. Miguel miał więcej powodów do niepokoju. Tak jak wino Pedra znane było w wiosce z niedoskonałości, tak to produkowane przez jego sąsiada zdobyło sławę najznakomitszego. Sekret Silvy polegał na tym, że osobiście selekcionował owoce. Każde grono po tym, jak zostało zerwane, ułożone w koszu i przyniesione z winnicy, musiało znaleźć się w jego ręku. W tej sprawie nie dowierzał nawet żonie i synom. Pedro często przyglądał się sąsiadowi w trakcie tego zajęcia, usiłując odgadnąć, co sprawiało, że z dwóch identycznych gron jedno znajdowało uznanie Miguela, a drugie lądowało w koszu z odpadkami. Według niego oba były równie dobre.

W trakcie tamtych zbiorów Pedro pracował więcej niż zwykle. Wstawał wcześniej i później kładł się spać. Ale nawet kiedy wieczorem gasił wreszcie świeczkę przy łóżku, wiedział, że w sąsiednim domu praca wciąż trwa i Miguel, już po przeniesieniu się z werandy, siedzi pochylony nad koszami, cierpliwie przebierając winogrona. Jakie więc było jego zdumienie, kiedy rankiem sąsiad nie pojawił się w winnicy, a jego żona i synowie wyszli do pracy w żałobnych ubraniach.

Kiedy Pedro zamieszkał w Eremancie, nie wiedział, co kryje się za zniknięciami mężczyzn. Dziwił się spokojnej reakcji rodzin, i któregoś razu zapytał o to po prostu Miguela. Z półsłówek, jakie składały się na niechętną odpowiedź Silvy, wyłonił się los uciekinierów,

a Pedrem targnęło oburzenie. Nagle zobaczył swoje dzieje w dziwnym odwróceniu: przecież on też wyruszył ze swojego miasta, aby wziąć udział w wojnie. Czy jego bliscy uznali go więc za zmarłego, tak jak zrobiłaby każda rodzina w wiosce? Myśl o tym była nie do zniesienia. Przypomniawszy sobie siostry, ojca i wiecznie modlącą się matkę. Wciąż wierzył, że kiedyś ich zobaczy.

Tymczasem wiele lat później, po odejściu syna, Pedro gorliwie wypełniał rytuały eremackiej żałoby. Młodzieńcze oburzenie – jeśliby o nim pamiętał – wydałoby mu się śmieszne. Guido umarł. Nie miało znaczenia, że płuca, mięśnie i serce chłopaka być może wciąż pracowały. A gdyby Pedro kiedykolwiek jeszcze pomyślał o swojej rodzinie, mieszkającej daleko, w odległym mieście portowym, wolałby, aby w sercach pochowano go tam dawno temu.

— Czy w tym domu straszy?

Zignorowała pytanie i sięgnęła po paczkę krakersów.

— Słysząc kroki albo trzaskanie drzwiami?

Uniosła głowę. Chłopak siedział na skraju kanapy. Miał krótkie włosy i bardzo szczupłą twarz. Na jego kolanie stała niebezpiecznie przechylona szklanka z drinkiem.

Magda była przekonana, że nigdy wcześniej go nie widziała. Pewnie należał do przyprowadzonej przez Marcina gromady mniej więcej dwudziestu chłopaków i dziewczyn, którzy natychmiast rozpełzli się po domu Sławińskich, nie dając jej szans na zapamiętanie ich imion czy twarzy.

Ktoś włączył się do rozmowy:

— Rzeczywiście, czuję tu czyjaś obecność...

— W tej chwili jest tu jakieś dwadzieścia osób.
— Magda próbowała zażartować, ale było już za późno. Uwaga wszystkich skupiła się na mówiącym.

— No, no. — Marcin pokiwał głową z udawanym podziwem. — Nie wiedziałem, że mamy tu kogoś, kto się zna na duchach.

Chłopak się uśmiechnął.

— Nie powiedziałem, że się znam.

— Mam pomysł — przerwała mu Sylwia, energicznie podnosząc się z dywanu i przy okazji przewracając stojący na stole plastikowy kubek.

Sylwia prowadziła polski sklep na obrzeżach Richmond, w miejscu, gdzie kończyły się obszerne rezydencje z ogrodami, a zaczynały wąskie uliczki obsadzone ciągiem przylegających do siebie jednakowych domów i gdzie ciemne i zimne pokoje wynajmowali pracujący na Heathrow Polacy. Magda, która postanowiła, że zwiedzanie Londynu rozpocznie od najbliższej okolicy, dotarła tam trzeciego dnia po przyjeździe. Przechadzała się ulicami, przyglądała przechodniom i przez pozbawione firanek okna zaglądała do domów, gdzie na półeczkach nad kominkami stały rzędy pocztowych kartek „*Get well, Happy Birthday!*”, różowych „*It's a girl!*” albo niebieskich „*A baby boy*”. W pewnym momencie jej wzrok odnalazł znajome słowa. Nad drzwiami budynku nieopodal wisiał kolorowy szyld: „Ptyś. Sklep spożywczy”.

Weszła, przyciągnięta siłą bijącą od tych liter, od zet z kropką, jednocześnie swojskiego i tu, w Richmond, magicznego, jak babiloński ryt lub tajny zuluski znak. W środku Tyskie, Wyborowa i Pieguski. Kiszone ogórki, przyprawa piernikowa, chińskie zupki z makaronem, niemieckie śledzie w sosie śmietanowym i puszysty serek, również z za Odry – jednym słowem esencja

polskości, mała ojczyzna upchana na sześciu metrach kwadratowych wynajmowanych za dziewięćset funtów miesięcznie od pakistańskiego landlorda, sknery i dusigrosza.

Zarówno o dziewięćset funtach czynszu, charakterze właściciela lokalu, jak i o rodakach, od czwartej nad ranem parzących latte w Costach i Starbucksach na lotnisku, Magda dowiedziała się od Marcina, który wszedł do sklepu kilka chwil po niej. Ekspedientka, wcześniej siedząca za kasą i z wrogą miną obserwująca każdy ruch Magdy, poderwała się wtedy z krzesła i zaczęła prowadzić z przybyszem ożywioną rozmowę.

Pulpety w sosie pomidorowym, żurek w proszku, zeszlotygodniowe wydanie „Na żywo” – Magda przesuwała wzrokiem po kolejnych towarach na półkach.

— Od dawna w Londynie? — usłyszała.

Podniosła głowę, upewniając się, że pytanie było skierowane do niej.

— Nie... Od kilku dni.

Marcin bez słowa wyciągnął rękę do Sylwii, a ta sięgnęła za kasę i podała mu niewielką broszurkę.

— Tu masz wszystko. Adresy sklepów, fryzjerów, kosmetyczek, szewców. Agencje pośrednictwa pracy, kursy językowe, wynajem mieszkania. Wszystko po polsku, wyłącznie zaufani ludzie.

Magda wyjaśniła, że nie potrzebuje ani pracy, ani mieszkania, ale kiedy powiedziała, dlaczego tu przyjechała i gdzie mieszka, zainteresowanie Marcina jeszcze wzrosło. Podszedł blisko i położył jej dłoń na ramieniu.

— Pilnujesz domu Sławińskich?

— Znasz ich?

— Znam tu wszystkich. — Nachylił się jeszcze bardziej. — Każdego Kowalskiego, Nowaka, każdą Zosię,

Kasię. Ja i Polacy z Iling, Hamersmis i Riczmont to jedno. Sławińscy nie są wyjątkiem.

I na dowód zażyłości z profesorstwem wyrzucił z siebie garść informacji: miejsca pracy, marki samochodów, imiona i wiek dzieci.

Magda uśmiechnęła się niepewnie.

— ... ale wracając do tego, co najważniejsze... — pstryknął palcem w broszurkę — my, Polacy, musimy trzymać się razem...

Potem mówił o harowie w fabrykach kurczaków, myciu po angielsku osranych kibli, uciemieniu, krwawicy, cierpieniu za miliony, i że ktoś wreszcie musi coś z tym zrobić. Magda słuchała tej Wielkiej Improwizacji, patrząc z niedowierzaniem na chłopaka. Myślała, że tacy ludzie już nie istnieją, wymarli dawno temu. Tymczasem duch Konrada przetrwał i odrodził się w Richmond pod postacią Marcina Kopytko (nazwisko było napisane na pierwszej stronie broszury), wyżelowanego dwudziestoparolatka, właściciela komórki Sony Ericsson z klapką, która w tej chwili dała o sobie znać fragmentem muzyki z *Mission Impossible*.

Chłopak odebrał telefon. W miarę jak słuchał, jego twarz przybierała wyraz gotowości.

— Już jadę. — Zakończył rozmowę, schował telefon i zwrócił się do Sylwii — będę w pralni na rogu Łorik i Askot, wiesz której? Tej od grubej Angielki, Lusy Łorton. — Dziewczyna kiwnęła głową ze zrozumieniem. — Jedna z pracujących tam Polek oparzyła sobie palec żelazkiem. Znów trzeba wykłócać się o kasę z ubezpieczenia.

Skinął Magdzie na pożegnanie i trzaskając drzwiami, wyszedł.

— On jest niesamowity — westchnęła sprzedawczyni. — Bez niego nigdy nie otworzyłabym tego sklepu.

— Mam pomysł — powtórzyła Sylwia, wyluzowana, wreszcie nie na tle półek i słoików, w niczym nieprzypominająca już przejętej ekspedientki. Od rozpoczęcia imprezy zdażyła wypić kilka piw.

— Ej, chodźcie. — Zachęciła gestem, chwiejąc się nad stolikiem. — Skoro są duchy, to trzeba zrobić magiczny krąg.

— Z dłoni? Jak na filmach? — upewnił się ktoś z drugiego końca pokoju.

— To nie zadziała — autorytatywnie stwierdził Marcin. — Nie ma jeszcze północy.

— Bzdury! — oburzyła się Sylwia. — Wcale nie trzeba tego robić o północy.

Magda zerknęła na zegarek. Po dziewiątej, u Jacka po dziesiątej. Zbyt późno, aby liczyć na to, że zadzwoni. Nagle pożałowała, że zgodziła się na to przyjęcie. Pomysł jak zwykle należał do Kaśki.

— Brakuje ci towarzystwa. — Przyjaciółka mówiła przez telefon. — Powinnaś urządzić imprezę, szkoda, żeby marnowało się tyle wolnego miejsca. Zaproś sąsiadów, może jakichś Polaków... Przecież jest ich w Londynie cała masa.

— Nie mam ochoty na imprezy — przerwała jej Magda, ale w jej wyobraźni już pojawił się obraz zatłoczonego domu. Zadzwoniłby telefon, a ona, przekrzykując gwar rozmów, muzykę i brzęk szklanek, zawołałaby w słuchawkę: „Halo? Jacek? Ledwie cię słyszę. Zaczekaj, znajdę jakiś spokojny kąt”. — A Sławińscy? Czy nie będą mieli nic przeciwko? — zapytała.

— Przecież nie muszą o niczym wiedzieć... — Kaśka zaśmiała się lekko. — Na wszelki wypadek zamknij gabinet profesora na klucz. Trzyma tam kilka cennych pamiątek z podróży.

— Jasne.

Po tej rozmowie odnalazła broszurkę, którą tydzień wcześniej dostała od Marcina, i po raz pierwszy dobrze się jej przyjrzała. Kilka kartek wydrukowanych na domowej drukarce, pociętych i spiętych zszywaczami. W środku tylko adresy i numery telefonów, ale ogólne przesłanie było jasne: jeśli masz problem z mieszkaniem, pracą, bolącym zębem, hałaśliwą murzyńską sąsiadką czy kupnem biletu na metro, dzwón do Marcina. Zadzwoń. Słuchała monotonnego sygnału w słuchawce, wyobrażając sobie, jak po drugiej stronie aparat odgrywa pierwsze takty *Mission Impossible*.

Ku jej zdziwieniu, Marcin doskonale ją pamiętał.

— Wiem, wiem, anioł stróż Sławińskich — przerwał jej, kiedy zaczęła wyjaśniać, kim jest.

Obiecał, że stawi się w sobotę punktualnie o ósmej i przyprowdzi kilkoro znajomych.

Potem pomaszzerowała do sklepu spożywczego Ptyś. Kupiła krakersy, paluszki, suchą kielbasę na kanapki, piwo i trochę wina. Wydała więcej, niż zamierzała, ale jej zakupy wprowadziły Sylwię w dobry humor, co zaowocowało tym, że bez wahania przyjęła zaproszenie na imprezę.

W sobotę pojawiła się jako pierwsza, razem z nią mąż, dwie nastoletnie kuzynki, brat i sąsiad. Tomek, Gosia, Agata, Witek i Piotrek – Magda powtarzała w myślach, próbując zapamiętać imiona nowo przybyłych. Pół godziny później przyszedł Marcin, a za jego plecami kłębił się mały tłum. Wpuściła ich. Było za późno, żeby cokolwiek odkręcić.

Goście natychmiast rozeszli się po domu. Większość z nich nie zadała sobie nawet trudu, żeby się przedstawić.

Od samego początku centrum imprezy znajdowało się w wielkim salonie na parterze. Wspominano inne spotkanie, w którym brała udział większość zgromadzonych, zdaje się, wyjątkowo udane. Padały imiona: Łukasz, Kuba, Michał, Ewa, Agnieszka, zaraz potem rekordy wypitych piw. Marcin rozsiadł się w fotelu na środku pokoju i kiwał głową. Ożywił się, gdy rozmowa zeszła na pracę.

— W tej fabryce śmierdzi i śmierdzi — skarżyła się wymalowana blondynka. — Stoję, nadziewam to mięso na patyki i prawie mdleję od tego smrodu.

— No tak, szaszłyki — westchnął ktoś inny. — Barbekju sizon.

— Trzeba coś z tym zrobić, powiadomić inspekcję pracy — odezwał się Marcin.

— A właściwie co tak śmierdzi? — zainteresował się ten od barbekju sizon.

— Mięso.

— Aha...

— Najgorzej śmierdzą ryby — tonem eksperta oznajmił ktoś z boku.

— Eee tam, ryby... Hindusi! — zaprotestował krótko ostrzyżony, rudawy chłopak. — Hindusi, Pakistańczycy, Bangla..., ci z Bangladeszu. Jak mi taki wejdzie do autobusu, choćbym miał zamknięte oczy, od razu rozpoznam.

— Kary. Jedzą dużo kary, to śmierdzą.

— Jakie kary? Nie myją się!

— I nie rozumiem — pieklił się dalej rudy. — Mówię takiej cenę biletu, a ta nic, tylko się gapi. Łan serti, powtarzam, i znowu nic. A ja mam rozkład i na następnym przystanku muszę być za cztery minuty, inaczej menedżer znowu mnie na rozmowę weźmie. Więc mówię

takiej: autobus to nie kino, tu się jeździ, nie patrzy. No! sinema!

— Ha, ha! — Śmiech rozniósł się po całym pokoju.

— Jak menedżer będzie się znowu czepiał, daj znać — powiedział Marcin. — Pogadam z nim, bezproblemowo.

— Hindusi to małe piwo — oznajmiła jedna z kuzynek Sylwii. — Najwredniejsi są Murzyni, jak Kler.

— Agata sprząta w firmie Kler — wyjaśniła Sylwia.

Reszta towarzystwa pokiwała głowami z taką miną, jakby wredota Clare była im znana aż za dobrze.

— Chwili spokoju nie mam — żaliła się Agata. — Chodzi za mną jak pies, w każdy kąt zajrzy, ale sama niczego nie sprzątnie, nawet się nie schyli. Tylko palec wystawi i mówi: hir, hir. I tak przez cały dzień.

— Ona nie ma do tego prawa — pocieszał Marcin. — Każdemu przysługują przerwy w pracy. Jeśli chcesz, zamienię z nią na ten temat parę słów.

Magda ledwo słuchała. Nikt się nią specjalnie nie interesował, można było odnieść wrażenie, że gospodarzem imprezy był Marcin, nie tylko służący radą w sprawie każdego nieszczęścia, niesprawiedliwości czy kataklizmu, ale również rozdający drinki i częstujący czipsami.

— A ty? Co właściwie tu robisz?

Zanim zorientowała się, że pytanie było skierowane do niej, Marcin wyręczył ją w odpowiedzi.

— Jak to co? Pilnuje tego domu. — Rozsiadł się wygodniej w fotelu i wskazał na ściany salonu, jakby prezentował swoją własność. — Stary Sławiński sprowadził ją specjalnie z Polski, jakby nikt spośród siedmiuset tysięcy Polaków w Londynie nie nadawał się do pilnowania jego posiadłości. To chyba najlepiej pokazuje, że tacy jak on, cała ta stara emigracja, ma nas głęboko w dupie. Ja się czuję osobiście urażony. I to dużo

bardziej niż wtedy, kiedy odmówił podpisu pod podaniem o grant do kansilu. Pamiętacie? Chciałem założyć klub polski. W dzień kawiarenka internetowa i punkt kontaktowy dla nowo przybyłych, wieczorem bar. Ale kulturalnie. Żeby po pracy spotkać się przy piwie we własnym gronie albo urządzić imprezę imieninową. Myślałem, że kasę na rozkręcenie dostanę z urzędu miasta, oni każdego roku rozdają tysiące funtów na multikalczeral soszial integrejszon. Napisałem wniosek i myślę sobie, że przydałby mi się podpis kogoś takiego jak Sławiński. Profesor, tyle lat tu już siedzi, ludzie go znają... Ale on powiedział, że klub polski to żadna integracja i że nie podpisze. Pieniądzy oczywiście nie dostałem.

Marcin był wyraźnie wzburzony, jego obuta w masywny traper stopa szorowała po podłodze.

Sylwia popatrzyła na Magdę, jakby to ona osobiście odmówiła Marcinowi dotacji.

— No, ale Magda nie jest przecież winna, że jej pracodawca ma nas za głupich ciołków ze wsi, którzy nie pasują do jego salonów. — Chłopak roześmiał się, rozluźnił i tylko jego but wciąż jeździł po miękkim dywanie. Później Magda musiała przesunąć fotel, żeby ukryć zmechacony kawałek.

— A w Polsce? Co tam robiłaś? — zapytała Sylwia, już przyjaźnie, jakby próbując się zrehabilitować.

Magda zawahała się. Tak jak kiedyś wśród znajomych Kaśki, doktorantów i pracowników uniwersytetu, tak i teraz, między sprzątaczkami, murarzami, kierowcami i tymi na zmywaku, wspominając o Horyzontach, czuła się nieswojo. Choć zupełnie z innych powodów.

— Pracowałam w administracji w biurze podróży — powiedziała wreszcie.

— Wyrzucili cię — ktoś ni to zapytał, ni to oznajmił współczująco.

Magda jeszcze bardziej skuliła się na krześle. Jak przyznać się tym, których nikt w Polsce nie chciał, których niedawno zwolniono albo którzy od lat kiblowali na bezrobociu i z każdym poniedziałkiem zaznaczali coraz mniej kółek wśród ogłoszeń lokalnej „Gazety Praca”? Jak im powiedzieć, że sama zrezygnowała, właściwie bez powodu, bo praca była zupełnie w porządku i wcale nie najgorzej płatna.

Choć nie, powód istniał. Agnieszka Zawadzka, magister iberystyki mogąca się również pochwalić licencjatem z turystyki i udokumentowaną certyfikatami znajomością angielskiego. Nowa pilotka w Horyzontach.

Kiedy Magda dowiedziała się, że jej biuro poszukuje hiszpańskojęzycznego przewodnika, pomyślała, że wreszcie nadeszła chwila, na którą tak długo czekała. Jako pierwsza złożyła swoje CV i list motywacyjny – zapukała do gabinetu dyrektora i po prostu położyła je na jego biurku. Szczepaniak spojrział w papiery, uśmiechnął się, ale nic nie powiedział, więc ona, również bez słowa, wróciła na swoje miejsce do recepcji, gdzie hałasował faks i terkotał telefon. Już niedługo, pomyślała wtedy.

A potem zaczęły napływać kolejne podania. Jak każda poczta, najpierw przechodziły przez jej ręce. Wyjmowała je z kopert i zanim przekazała Szczepaniakowi, ukradkiem spoglądała w przechwałki konkurentów. Ale jeszcze niczego nie rozumiała. Prawda nie dotarła do niej nawet wtedy, kiedy poproszono ją, by zadzwoniła do wybranych kandydatów i zaprosiła ich na rozmowę. Jestem zawsze na miejscu, pomyślała, patrząc na listę. Do mnie nie trzeba dzwonić.

Zrozumiała, kiedy zobaczyła, jak po skończonym spotkaniu dyrektor odprowadza do drzwi jedną z kandydatek. Uścisnęli sobie dłonie.

— Do zobaczenia w poniedziałek, pani Agnieszko.

W drodze powrotnej do gabinetu przystanął przy jej biurku.

— Pani Magdo, jest pani dla nas bezcenna — oznajmił, może nawet trochę zakłopotany. — Biuro po prostu nie może sobie pozwolić na utratę takiej sekretarki.

Rezygnację napisała jeszcze tego samego popołudnia.

Praca sekretarki miała być dla Magdy tylko przejściowym etapem, który doprowadzi ją do innych, bardziej ekscytujących zajęć. Jakich? Nie była już pewna. Kiedyś myślała, że do stanowiska pilota wycieczek, ale przekonała się, że na jej drodze stoją tacy jak Zawadzka, wykształceni, po studiach, z certyfikatami. Teraz marzyła o zostaniu tłumaczką, wciąż pozostając wierna swojej jedynej prawdziwej fascynacji – językowi hiszpańskiemu.

Do tej pory nie mogła zrozumieć, jak to się stało, że nie dostała się na iberystykę. Z pisemnej części wyszła zadowolona, ale kiedy kilka dni później zobaczyła wyniki, poczuła, jakby ktoś z całej siły uderzył ją w policzek. Cała pewność siebie wyparowała i podczas ustnego egzaminu zdołała wydukać tylko kilka nieskładnych zdań. Trójka z pisemnego i kilka zdań – to wszystko po latach nauki i ciułania kieszonkowego, by opłacić kolejne dodatkowe konwersacje, latach zajeżdżania Kasprzaka, za którym wiernie i wciąż od nowa powtarzała: „*El cielo se nublará*” i „*¿En qué ventanilla puedo comprar sellos?*”. Jak to się mogło stać? „*¿Cómo podría ser de?*”.

Ale czy te jej wielkie dramaty, dla niej największe, obłany egzamin, brak awansu, mogły się równać z wy-

darzeniami, które skłoniły tych ludzi – Magda popatrzyła na wymalowane twarze Sylwii i jej kuzynek, na zacięte rysy rudego kierowcy i innych, wciąż nieznanymi jej z imienia mężczyzn – do przyjazdu tutaj? Rozpoczęcia wszystkiego od zera?

Na wszelki wypadek nie tłumaczyła niczego i kiwnęła potakująco głową. Tak, wylali ją na zbity pysk. I zaraz zgarnęła ze stołu kilka pustych butelek, uciekając przed koniecznością dalszych wyjaśnień. Zniosła je do kuchni i wrzuciła do kosza.

Odczekała kilkanaście minut, a kiedy wróciła do pokoju, natychmiast zorientowała się, że podczas jej nieobecności rozmowa zeszała na nowe tory. Na środku pokoju stał teraz chłopak, zupełnie jej nieznanym, ale ewidentnie zaprzyjaźnionym z pozostałymi osobami. W jednej ręce przytrzymywał zadartą pod szyję koszulkę, drugą wskazywał obnażony bok.

— ... i czasem, mówię wam, jak mnie tu zakłuje, to normalnie nie wiem, co ze sobą zrobić.

— Musisz umówić się na wizytę do doktora Wilczura — poradził Marcin, wciąż rozparty na skórzanym fotelu Sławińskich.

— Do kogo? — zapytał chłopak, wreszcie opuszczając koszulkę.

— No co ty, Andrzej, wczoraj się urodziłeś? — zaśmiała się Sylwia. — Cały Londyn zna Wilczura.

— Ale ja nie znam. Jak się do niego dostać?

— Trzeba zadzwonić na Taksy Dajrekt i zamówić kurs o długości zależącej od choroby. Jeśli kogoś boli gardło, niech jedzie cztery przecznice, a jeśli podejrzewa arytmie serca, niech lepiej zamówi kurs do Łimbletonu. Tobie powinna wystarczyć rundka po centrum, powiedzmy od stacji metra Iling Brodlej do Szepers Busz. Tylko

koniecznie poproś, żeby kierowcą był Grzywacz, żaden inny, tylko Grzywacz. Jak taryfa podjedzie, wsiadasz i z marszu, oczywiście po naszymu, mówisz, co ci dolega. Grzywacz cię wyleczy.

Andrzej niepewnie popatrzył na Sylwię.

— On u nas był prawdziwym lekarzem — wyjaśniała cierpliwie dziewczyna. — W dużym państwowym szpitalu w Bydgoszczy. Tutaj załapał się na taksjarza, ale przecież przysięgę lekarską złożył, cierpiącym pomoc nieść obiecał i ta obietnica obowiązuje wszędzie, nawet za kółkiem bryki z Taksi Dajrekt. Więc choć wścieka się i klnie jak trzeba, albo zaczyna udawać głuchego, zawsze w końcu się łamie i leczy. Czasem nawet zatrzyma się na parkingu po drodze i osłucha pasażera albo w gardło mu zajrzy. Tylko trzeba odpowiednio dobrać długość kursu, żeby opowiedzieć o wszystkich objawach, no i żeby doktorowi zdążyła złość przejść. Z trasy cię nie wyrzuci, boby go zaraz wylali, ale jeśli dojedziesz na miejsce przed diagnozą... — Sylwia machnęła ręką — Zapomnij... Skasuje cię za licznik i słowa dobrego nie powie. Jeszcze będziesz uciekał, żeby ci przez stopy kołami nie przejechał.

— Od Iling Brodłej do Szepers Busz? — upewnił się Andrzej.

Sylwia przytaknęła.

— I pamiętaj, jak już wsiądziesz do taksówki, zwracaj się do niego: panie doktorze Grzywacz. Wszyscy mówią Wilczur, ale tylko za jego plecami.

Magda zajęła z powrotem swoje miejsce w kącie i słuchała dalszych narzekania na migreny, wzdęcia oraz nieregularne krwawienia. Od czasu do czasu ten ponury obraz stanu zdrowia emigracji rozjaśniały opowieści o cudach doktora Wilczura. Znów nikt nie zwracał uwagi na

gospodynię i dopiero pytanie o duchy na nowo włączyło ją do rozmowy, ale i to tylko na chwilę, bo zaraz wszyscy skoncentrowali się na Sylwii i magicznym kręgu.

— Więc mówisz, że nie ma jednej formuły? — dopytywał się Marcin.

— Pewnie, że nie. Wystarczy zapytać o krążące w pobliżu duchy. Nie trzeba wypowiadać żadnych zaklęć. To byli kiedyś zwykli ludzie. Zrozumieją — zapewniła Sylwia.

— No dobra... Może być fajnie. — Marcin zaczął zdejmować ze stołu szklanki i butelki.

— Co robisz? — Sylwia złapała chłopaka za ramię. — Ten stół na nic się nie przyda. Potrzebujemy okrągłego.

W głowie Magdy zapaliło się czerwone światło. Chciała coś powiedzieć, ale nie zareagowała wystarczająco szybko. Marcin i Sylwia zniknęli w korytarzu, a za nimi podążyła większość zgromadzonych w pokoju.

— Uwaga, uwaga! — zza drzwi dał się słyszeć tubalny krzyk Marcina. — Szukamy okrągłego stołu! Powtarzam: szukamy okrągłego stołu!

Magda z rezygnacją wyszła za nimi. W korytarzu stała bezradnie, nie wiedząc, w którą pójść stronę. Goście rozpełzli się po całym domu, głosy słyhać było zarówno z piętra, jak i z pomieszczeń obok. W progu otwartych drzwi prowadzących na tyły leżało kilka zgniecionych puszek. Czyżby ktoś wyszedł do ogrodu? Z kuchni dobiegł dźwięk tłuczonego szkła.

Dopiero nazajutrz mogła w pełni ocenić wyrządzone podczas przyjęcia szkody. Uprzątnięcie bałaganu zajęło jej dwa dni. Praca nad tłumaczeniem zamarła, Magda nawet nie włączała laptopa. Ze ściereczką w jednej ręce, a miską ciepłej wody w drugiej chodziła od pokoju do pokoju, zmywając lepkie ślady po kieliszkach

i szklankach. Wkładała w sprzątanie całą energię, ale jej złość zamiast maleć, wciąż rosła. Tylko wcale nie była pewna, na kogo się wścieka: na gości, na Jacka czy na samą siebie.

Nocami nie mogła spać. Godzinami leżała rozgorączkowana i trawiona wspomnieniami. Choć w gruncie rzeczy nie miała wiele do wspominania. Raptem jeden wieczór. Na dodatek sporej części z tego, co się wtedy wydarzyło, po prostu nie pamiętała. Nie mogła sobie na przykład przypomnieć, jak to się stało, że Jacek zaczął ją całować. Pamiętała, jak zaproponował, że odprowadzi ją do domu. Szli pustymi ulicami osiedla, śmiejąc się i powtarzając co lepsze dowcipy spośród dziesiątek, jakimi przez cały wieczór raczył wszystkich Piotrek. Na miejscu okazało się, że nie działa winda, więc zaczęli wspinać się po schodach. Zdyszana, zatrzymała się na trzecim piętrze i po raz setny poinformowała go, jak bardzo się cieszy, że wkrótce wyprowadza się z tego bloku. Następną rzeczą, jaką sobie przypomniła, był dotyk jego ust na szyi i ciche stuknięcie, kiedy przechylając do tyłu głowę, uderzyła o zamknięte drzwi swojego mieszkania na szóstym piętrze. Ale co wydarzyło się między trzecim a szóstym piętrem?

Leżała w łóżku w obcym domu na obrzeżach obcego miasta i tworzyła kolejne scenariusze. A więc na czwartym piętrze Jacek przypadkiem dotyka jej ręki. Na piątym czuje jego dłoń na ramieniu, ale tym razem nie ma w tym geście nic przypadkowego. Albo inaczej: czwarte piętro – on przystaje. Muszę ci coś powiedzieć, szepcze, niepewnie wyciąga rękę i dotyka jej włosów.

Czasem oszalał ją nagłe wspomnienie pojedynczego gestu lub słowa. Ale czy mogła być pewna, że te obrazy były prawdziwe? Czy sceny, które pojawiały się

w jej głowie – wybuch śmiechu, kiedy pod ich ciężarem zajęczało stare łóżko; szybująca w ciemności biała męska koszula – rzeczywiście się wydarzyły, czy jedynie powstały w jej wyobraźni? Nie potrafiła powiedzieć. Tamtego wieczoru, podczas pożegnalnego spotkania z kolegami i koleżankami z Horyzontów, wypila o kilka drinków za dużo, a potem zbyt wiele nocy spędziła sama, wypełniając wyobrażeniami białe plamy w pamięci, żeby teraz móc oddzielić fantazję od rzeczywistości.

Wieczorami czekała na telefon. Wpatrywała się w aparat, przekonana, że zaraz zadzwoni i zadrga wibracjami. Siadała w fotelu i wbijała wzrok w nocny stolik i leżącą na nim komórkę. Szykowała się na długą rozmowę.

Powtarzała sobie, że musi być cierpliwa. Jacek nie mógł do niej zatelefonować ot, tak sobie. Całe dni spędzał przecież w biurze. Wieczorem wracał do domu, ale na pewno dalej miał masę pracy, z własnego doświadczenia wiedziała, że wakacje są w biurze podróży najgorętszym okresem. Poprzedniego lata telefony w Horyzontach niemal się urywały. Każdy, oczywiście, dzwonił w sprawie niecierpiącej zwłoki. A to autokar zepsuł się w drodze do Turcji. A to rozchorował się uczestnik tygodniowej wycieczki po Włoszech lub turyści w Belgii skarżyli się na posiłki w hotelu. Wszystko to spadało na Jacka. Dyrektor Szczepaniak wolał zajmować się przyjemniejszymi rzeczami, jak choćby wybieraniem zdjęć do przyszłorocznego katalogu. To Jacek załatwiał zastępczy transport, szukał adresów weneckich szpitali i pertraktował z obsługą hotelową w Brukseli. W tym roku nie było zapewne inaczej.

A jednak mógłby wykazać się odrobiną sprytu. Przypomniła sobie, jak kiedyś, dawno temu, powiedział, że codziennie przed snem wyprowadza na spa-

cer psa. Wtedy szybko o tym zapomniała, zwłaszcza że Jacek nigdy więcej o tym nie wspomniał, ale teraz ten drobny fakt zyskał niezwykłą ważność. Wieczorny spacer był przecież doskonałą okazją, aby zadzwonić z telefonu komórkowego albo nawet z budki ulicznej. Im więcej o tym myślała, tym nabierała większej pewności, że Jacek zadzwoni właśnie wieczorem. Tak zatem układała swoje nieliczne zajęcia, żeby już o ósmej zasiąść w fotelu obok stolika z telefonem i czekać.

Dobrze przygotowała się do tej rozmowy. Postanowiła na przykład, że zareaguje śmiechem na usprawiedliwienia, dlaczego nie zadzwonił wcześniej. Żadnych wyrzutów, nagabywań. Naprawdę? Dwa tygodnie?, zdziwi się niedbale. Działo się tyle rzeczy... Podróż, Londyn i ten dom. Powinieneś go zobaczyć. Jest ogromny, z wielkim ogrodem. A potem powie jeszcze: à propos ogrodu, wiesz może, jak obsługiwać elektryczną kosiarkę ogrodową Rotak 320?

Miała nadzieję, że rozbawi go tym pytaniem. Powtarzała je na głos, próbując odnaleźć ton, który sprawi, że stanie się jednocześnie fachowym zapytaniem i czymś w rodzaju zaproszenia. Wyobrażała sobie, jak Jacek podejmie grę: Rotak 320? Model wyjątkowo trudny w obsłudze, zwłaszcza dla kobiecej ręki...

Ale kiedy w końcu dzwonił telefon, w słuchawce odzywał się głos mamy albo Kaśki. Kilka razy, już na domowy, telefonowali też znajomi Sławińskich, do których najwyraźniej nie dotarła wiadomość o ich wyjeździe, zawsze Brytyjczycy, więc Magda powtarzała kulawym szkolnym angielskim, dodatkowo z hiszpańską wymową: Holidy, morr den tu monts – nie miała pojęcia, jak powiedzieć dwa i pół miesiąca. Przy tych okazjach, słysząc swój głos w idealnie cichym domu, zorientowała

się, że mówi z hiszpańskim akcentem. Przyzwyczajenie robiło swoje. Przechodząc na obcy język, jakikolwiek język, automatycznie wymawiała słowa w szorstkiej melodii, którą naśladowując bohaterki filmów Almodovara, trenowała przez lata.

Raz zadzwoniła profesorowa. Chciała się upewnić, że w domu wszystko w porządku. Magda nie zająknęła się o stłuczonych podczas imprezy kieliszkach i czerwonej plamie na obrusie, która nie sprąła się, pomimo kilkakrotnych prób. Nie wspomniała też o kłopotach z obsługą kosiarki, które powodowały, że trawa w ogrodzie od dwóch tygodni rosła bez przeszkód, sięgając już Magdzie dobrze powyżej kostek. Ale przede wszystkim pominęła milczeniem potłuczony wazon w pracowni profesora.

Zapomniała o radzie Kaśki. Nie zamknęła gabinetu – i oczywiście ekipa poszukująca okrągłego stołu w końcu tam dotarła. Afrykańskie maski wywołały westchnienia podziwu. Magda wdrapała się po schodach i weszła do pokoju w samą porę, aby powstrzymać podchmielonego chłopaka, kolejnego nieznanego przyprowadzonego przez Marcina, przed zdjęciem jednej z nich ze ściany. Spóźniła się natomiast, by uratować stojący z boku na stoliku wazon. Patrzyła na skorupy na podłodze, podczas gdy reszta towarzystwa, rozczarowana z powodu masek, ale wciąż rozbawiona, przeniosła się do kolejnego pokoju, nieświadoma szkód, które za sobą zostawiła.

Między łopatkami poczuła nieprzyjemne kropelki potu. Podniosła kawałek potłuczonego wazonu. Na pierwszy rzut oka przypominał zwykły fajans, nawet namalowane na nim kwiaty były podobne do wzorów na wazonach, które można kupić w zwykłym sklepie. Ale czy mogła być pewna? Każdy przedmiot w tym gabinecie mógł okazać się stary i drogocenny. Na ścianach,

obok afrykańskich masek, wisały japońskie miecze. Za szklanymi drzwiczkami kredensu stała chińska porcelana, a w gablotach leżały kolejne pamiątki przywiezione z licznych podróży profesora.

Wazon rozbił się na dwa spore kawałki i kilka mniejszych. Może da się skleić? Podniosła z podłogi największą skorupę, odsłaniając leżącą pod spodem, ściągniętą gumką paczkę listów.

W korytarzu na nowo wybuchły okrzyki i śmiechy. Magda odłożyła kawałki wazonu z powrotem na podłogę i wyszła sprawdzić, co działo się w innych częściach domu. Tym razem zamknęła za sobą drzwi, a klucz schowała w kieszeni dzinsów.

Okragły stółk znalaziono na samej górze, w jednym z pokoi dla gości. Marcin znosił go właśnie po schodach z tryumfalnym wyrazem twarzy. Za nim ciągnęła reszta towarzystwa. Wielki, drewniany i zdaje się pamiątkowy zegar Sławińskich wydzwonił jedenastą. Ostatecznie zdała sobie sprawę, że Jacek już nie zadzwoni.

A przecież była pewna, że zatelefonuje właśnie wtedy. Sobota wieczór – idealna pora. To właśnie dla tej rozmowy zorganizowała imprezę, na chwilę tworząc barwną wersję swojego londyńskiego życia: party, mjuzyk i bijer. Ale Jacek nie zadzwonił. Ani w sobotę, ani w niedzielę, w poniedziałek, wtorek i środę.

Sam poprosił o numer telefonu. Ostatniego dnia nachylił się nad jej biurkiem, zastawionym kartkami z pożegnaniem oraz pudełkami czekoladek, i powiedział:

— Podeślij nam z Anglii swój nowy numer telefonu. Na wypadek gdybyśmy nie mogli znaleźć jakichś papierów.

Nie widziała w tym nic nadzwyczajnego. Pracowała w Horyzontach trzy lata, miała swój system przechowy-

wania dokumentów i rzeczywiście, były w firmie takie sprawy, o których wiedziała tylko ona.

Po tej rozmowie z Jackiem wyszła z biura. Od tego momentu wydarzenia gwałtownie przyspieszyły. Wpadła na chwilę do mieszkania. Wzięła prysznic, przebrała się i już jechała z powrotem do centrum. Stolik na pożegnalną kolację z koleżankami i kolegami z pracy był zamówiony na wpół do ósmej. Zjedli, a na dalszą część wieczoru przenieśli się do pubu, wypłoszeni cenami drinków w restauracyjnym menu. Potem poszli do innego baru, potem jeszcze do kolejnego, a z każdymi przynosinami ich grupa topniała. W końcu zostali tylko Magda, Piotrek, Kuba, Jacek i młoda studentka, praktykantka z księgowości, której właściwie nikt nie znał, bo pojawiała się w firmie ledwie tydzień wcześniej. Magda miała wrażenie, jakby nie tyle brała udział w zabawie, ile oglądała film puszczony w przyspieszonym tempie. Taśma nie zwolniła, kiedy Jacek zaproponował, że odprowadzi ją do domu, nawet kiedy całowali się na klatce schodowej.

A rano obudziła się w pustym łóżku. Nie pamiętała, kiedy wyszedł.

To było w piątek, szesnaście dni temu. Dwa tygodnie i dwa dni. Dlaczego nie dzwonił? Tuż po przyjeździe do Londynu i kupieniu tutejszej karty wysłała mu na służbową komórkę SMS. I tyle. Następny krok należał do niego. Ale on milczał.

Jak Ines, pomyślała, milczał jak Ines, ale zaraz odgoniła od siebie skojarzenie. Wolałaby uniknąć stawiania się na równi z Pedrem Souzą, ten zawsze wywoływał w niej sprzeczne uczucia. Miałaby ochotę mocno nim potrząsnąć, krzyknąć: Bądź mężczyzną! Nie zadręczaj się. Po prostu zapytaj.

Jego zachowanie irytowało ją. Nie rozumiała, jak mógł przez tyle lat żyć w niepewności. Czasem, patrząc na przetłumaczone rozdziały powieści, miała ochotę wykreślić całe ustępy. Albo, jeszcze lepiej, dopisać nową scenę. Pedro przerwałby pracę w winnicy i ruszył w stronę domu, po drodze przystając przy studni i myjąc poplamione winogronowym sokiem dłonie. Potem wszedłby po schodach na werandę i zniknął w ciemnym wnętrzu domu. Żonę znalazłby w kuchni, pochyloną nad gotującą się zupą.

Naturalnie przewidywała trudności. Wyobrażała sobie obojętne spojrzenie Ines i jej zaciśnięte wargi. Ale tym razem kobieta nie miałaby dokąd uciec, jak wtedy, tamtego wieczoru po ślubie, kiedy poszła po haftowaną wyprawę. Tym razem Pedro nie powinien rezygnować, powinien nalegać i żądać. Pytać, dopóki nie otrzyma odpowiedzi.

Czy i ona powinna pytać, nalegać i żądać? Zadzwoić na komórkę? Albo do biura? Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego. Pracowała tam tyle czasu, miała znajomych. Piotrka, Kubę. Kuba zawsze był dla niej miły, na pewno chętnie by z nią porozmawiał.

Potrząsnęła głową. Powinna czekać, aż Jacek sam się odezwie. Powinna też więcej czasu poświęcać pracy nad książką.

Tłumaczenie okazało się trudniejsze, niż przypuszczała. Na trudny start, mozolne poszukiwanie właściwego tonu, była przygotowana. Tymczasem, choć przebrnęła przez pierwsze, teoretycznie najtrudniejsze rozdziały, praca nie stawała się lżejsza. Zdarzało się, że przez godzinę myślała nad jednym akapitem, wstukując i kasując kolejne wersje, a kiedy w końcu decydowała się na którąś z nich, rzadko była zadowolona. Coraz częściej

natrafiała też na wyrażenia, których po prostu nie rozumiała. Wcześniej wiele razy czytała *Eremantę* i za każdym razem wszystko wydawało jej się jasne. Teraz nie dałaby sobie rady bez słowników i leksykonów, które przezornie przywiozła z Polski. Pomocy nie mogła szukać nawet w internecie. Dostęp do sieci był bowiem zabezpieczony nieznanym jej hasłem. Kilka razy bezskutecznie próbowała je odgadnąć, wpisując imiona dzieci Sławińskich, w wersji polskiej i angielskiej. Wreszcie się poddała.

Ale zdarzało się i tak, że słowniki nie wystarczały. Tłumaczyła wtedy nieznaną wyraz lub zwrot na wyczucie, tak jak podpowiadał kontekst. Sporo kłopotu sprawiały też przysłowia, jak choćby to powiedzenie o sądzie wdowy wplecione w początek drugiego rozdziału. Bez trudu domyśliła się, że chodziło o gadatliwą kobietę, która nie mając w domu przed kim otworzyć duszy, przychodzi na pogaduszki do sąsiada. Mężczyzna musi znosić jej gadulstwo, choć wcale tego nie chce.

Rozgryzła to. Przeanalizowała na wszystkie sposoby. I nadal nie potrafiła przetłumaczyć. W języku polskim po prostu nie istniało takie powiedzenie. Mogłaby zrezygnować z obecności przysłowia, skoncentrować się na przekazaniu jego znaczenia i naszkicować obyczajowy obrazek z gadatliwą wdową i jej sąsiadem. Gdyby nie następne zdanie: „Ale zamknijmy przysłowia wewnątrz lustrzanego kufierka, gdzie ich właściwe miejsce”.

Jak się do czegoś takiego zabrać?

Znów przysłowie, na dodatek dość specyficzne, gdyż traktujące o wątpliwej przydatności powiedzeń. Sens dosłowny był jasny: przysłowia należy umieścić w skrzynce, której ścianki zrobione są z luster, tak że kiedy się na nią patrzy, nie widać nic poza własnym odbiciem. Ale jak to przełożyć na polski?

Gdyby zrezygnowała z pierwszego powiedzenia, kolejne zdanie nie miałyby sensu. Najlepszym wyjściem byłoby znalezienie dwóch odpowiednich przysłów – zadanie po prostu niemożliwe.

W końcu przetłumaczyła ten fragment dosłownie, słowo po słowie. Przynajmniej miało to jakiś sens. Liczyła, że czytelnik powtórzy jej rozumowanie i domyśli się obecności nieprzetłumaczalnych hiszpańskich przysłów.

Hiszpańskich? No właśnie...

Inny akapit sprawił jej taką trudność, że w końcu zmuszona była po prostu go pominąć. Składał się ledwie z dwóch zdań, ale obok Pedra, Ines oraz Miguela Silvy wspomniane w nich były podeszwa i orzeł. Co ptak ma wspólnego z butem? I z bohaterami *Eremanty*?

Przez jakiś czas odsuwała od siebie problem, w miejsce niezrozumiałego akapitu wstawiła czerwony znak zapytania. Ale kiedy później wracała do tego fragmentu, była tak samo bezradna. Czerwony symbol drażnił ją coraz bardziej i wreszcie po prostu go wykasowała.

Czasem otwierała książkę na pierwszej stronie i wpatrywała się w staroświecką czcionkę, która układała się w tytuł. Pod spodem znajdował się rok wydania oraz zdanie: „Na hiszpański przetłumaczył Juan Fernández”. Kartkowała dalej, ale to było wszystko. Nigdzie nie znalazła nazwiska autora ani wskazówki co do języka oryginału.

Być może przysłowia o gadatliwej wdowie i lustrzanym kufierku wcale nie pochodziły z hiszpańskiego? Przecież chyba nie bez powodu nigdzie nie mogła ich znaleźć, w żadnym słowniku czy leksykonie. A co jeśli Juan Fernández stał kiedyś przed dokładnie takimi samymi dylematami co ona? Być może zdanie z podeszwą

i orłem, przetłumaczone dosłownie z nieznanego języka, nie miało również sensu dla hiszpańskiego czytelnika? Tak samo jak nie miało sensu menu przyjęcia weselnego Ines i Pedra, na którym obok madryckich flaków pojawiła się portugalska *pastel de nata*?

Jaki był sens w tłumaczeniu tłumaczenia? Ile z tego, co czytała, zostało napisane przez bezimiennego autora, a ile przez Juana Fernándeza? Nie umiała znaleźć odpowiedzi na te pytania, ale pracowała dalej.

Przekartkowała poźółkłe kartki powieści, zatrzymując wzrok na zapisanej legendzie. Tym mogę się zająć, pomyślała. Prosty język, krótkie zdania, nieskomplikowane słownictwo.

Pochyliła się nad biurkiem. W pokoju zabrzmiały dźwięki szybkich uderzeń w klawiaturę laptopa.

Legenda mówiła, że wiele dziesiątków lat temu Eremanta była gwarną i dobrze prosperującą osadą. Leżała na szlaku, po którym często wędrowali kupcy i pielgrzymi, a handel z nimi pomnażał bogactwa mieszkańców. Z roku na rok wioska rosła, przybywało w niej domów, otwarto bank, kancelarię sądową, zajazd, a na miejsce drewnianego kościoła wybudowano nowy, wysoki i murowany. Eremanta coraz mniej przypominała wioskę, a coraz bardziej niewielkie, ale świetnie prosperujące miasteczko.

Najbogatszym gospodarzem we wsi był wówczas wdowiec Jose Lavos. Los pobłogosławił go nie tylko sprytem w prowadzeniu interesów, ale i piękną córką. Uroda Abigaíl była tak wielka, że każde pojawienie się dziewczyny na ulicy łamało nowe serca. Wkrótce w całej wsi nie było ani jednego młodego mężczyzny, który

nie wzdychały do córki Jose. Pod jej oknem ustawiali się kawalerowie, niektórzy trzymali w ręku kosztowne prezenty, inni recytowali miłosne wiersze. Jednak żaden nie zdołał wzbudzić w Abigaíl uczucia i dziewczyna beztrudno drwiła ze starań zalotników. Skrycie cieszyło to jej ojca, gdyż planował wydać córkę za syna bogatego kupca z nieodległego miasta, z którym prowadził korzystne interesy.

Mijały miesiące. Jose postanowił wcielić zamierzenia w życie. W tajemnicy przed córką porozumiał się ze współnikiem. Razem ustalili, że syn kupca, młody Vasco Bustamante, wkrótce przybędzie do Eremanty. Jose rozpoczął ukradkowe przygotowania do wesela córki. Jednak na kilka dni przed przyjazdem gościa do wioski zawitała trupa wędrownych aktorów. A wśród nich młody chłopak o pięknym głosie. Abigaíl usłyszała jego śpiew i oczywiście, zakochała się.

Pewnego wieczoru dziewczyna przyprowadziła śpiewaka przed oblicze Jose.

— Ojcie, poznaj mojego narzeczonego — powiedziała, spodziewając się ojcowskiego błogosławieństwa. Ojciec bowiem do tej pory zawsze spełniał wszystkie jej życzenia i często powtarzał, że szczęście córki jest dla niego najważniejsze.

Tymczasem Jose wpadł w gniew. Natychmiast przepędził chłopaka, a Abigaíl zamknął w sypialni na klucz. Podniesionym głosem oznajmił przez drzwi:

— Twój prawdziwy naręczony, syn mojego współnika, jest w drodze do Eremanty. W dniu, w którym tu dotrze, odbędą się wasze zaślubiny. Do tego czasu pozostaniesz w zamknięciu.

Rankiem wzburzenie ojca minęło, jego serce zmiękło. Postanowił porozmawiać z córką i wszystko jej wytłuma-

czyć. Przekręcił klucz i wszedł do sypialni dziewczyny. Pokój był pusty, a z otwartego okna zwisała lina.

Tym razem gniew, jaki ogarnął Jose, zdawał się nie mieć granic. Poszarpał poduszki na łóżku córki, podarł wiszące w szafie suknie. Opanował się dopiero na myśl o kupieckim synu, który za kilka dni miał przybyć na własne wesele. Zwołał młodych mężczyzn z wioski i obiecał wypłacić im ogromną sumę za schwytanie uciekinierów.

III

W Eremancie łatwo można było zapomnieć o prawdziwej naturze świata. Wszystko zdawało się tam zmierzać do ruiny, zapadać w sobie i gasnąć. Pewnej zimy zawalił się budynek, w którym niegdyś mieścił się bank, i odtąd główny plac zdołało rumowisko pokruszonych cegieł. W bocznej nawie kościoła zaczął przeciekać dach. Ojciec Filipe Pereira, nie mając żadnych środków na naprawę świątyni, podstawił w tym miejscu blaszane wiaderko. Coraz mniej ludzi chodziło po piaszczystych ulicach wioski, coraz więcej domów stało pustych.

Tymczasem świat poza Eremantą gnał do przodu, wiecznie świeży i młody, wciąż na początku drogi. Nowe idee i wynalazki, dopiero co puszczone w obieg, ścigały się między sobą jak kulki, spadające z zawrotną prędkością po równi pochyłej. Pojawiły się nowe odkrycia i konstrukcje. Cudowne urządzenia początkowo przyjmowano z nieufnością; później z nieśmiałym zadowoleniem. Wygodę, jaką zapewniały, długo traktowano jak zbytek, by w końcu zawsze uznać ją za konieczną,

niezbędną, a przede wszystkim należną. Pierwsza linia kolejowa połączyła Santa Apolonię z Carregado. Kable telegraficzne powiązały ze sobą miasta i od tej pory wiadomości nadane w jednym krańcu kraju w ciągu ułamka sekundy były odbierane w drugim. Na tronie następowały przetasowania. Na skutek śmierci, zmian sytuacji na froncie, spisków i intryg, królów zastępowały królowe albo odwrotnie: królowie zastępowali królowe. Zmagania wojenne wzmagaly się i słabły, ale nigdy nie gasły. Czasem przyłączały się do nich strony mniejszych konfliktów zbrojnych, które niezależnie od wielkiej wojny wybuchały w innych rejonach kraju. Walki w Serra Maladecie zyskiwały wtedy na chwilę konkretny cel. Zawsze jednak nowe siły w tajemniczy sposób uznawały, że ich spór został rozstrzygnięty. Zwijaly wtedy swoje sztandary i wycofywały się z pola bitwy. A wojna w Serra Maladecie – jak rozpędzony pociąg, na widok którego wieśniacy z okolic Carregado kreślili pospieszny znak krzyża – i tak toczyła się dalej.

Burmistrz Ernesto Silveira roztył się, zestarzał i w końcu umarł, zostawiwszy po sobie ośmiu synów z nieprawego łoża i spółdroną z prawowitą małżonką córkę. Nie mogąc się zdecydować, którego z bękartów usynować i przekazać mu stanowisko, czekał przez wiele lat, aż któryś wykaże się nadzwyczajną siłą charakteru. Zwlekał zbyt długo. Kończył właśnie kolację, kiedy żyłka w jego mózgu pękła i Silveira padł, rażony apopleksją.

Funkcja burmistrza Vila Famalio krótko pozostała nieobsadzona. W dniu pogrzebu, kiedy ośmiu męskich potomków Ernesta w udawanej komitywie kroczyło w kondukcje żałobnym ojca, grupa drobnych rzezimieszków pod dowództwem niejakiego Anibala Moraesa, urzędnika niższej rangi, zajęła magistrat. Szturm odbył

się bez rozlewu krwi i tylko niefortunny wypadek spowodował, że w jednym skrzydle budynku wybuchł pożar. Ogień szybko ugaszono, a Moraes ogłosił się burmistrzem.

Ośmiu braci osuszyło łzy i pospieszyło walczyć o spuściznę po ojcu. Wkrótce jednak musieli uznać władzę uzurpatora. Silveirowie, bo wbrew zapisom w aktach urodzin, tak kazali się nazywać, nie potrafili bowiem stworzyć wspólnego frontu. Każdy spiskował nie tylko przeciwko Moraesowi, ale i przeciwko siedmiu pozostałym braciom. W rezultacie szeregi zwolenników potomków Ernesta topniały, natomiast sprytny Anibal Moraes gromadził coraz więcej sympatyków, a kiedy ogłosił obniżenie podatków, całe miasto stanęło po jego stronie.

Niższe podatki nie mogły nie wpłynąć na stan kasy powiatowej i ledwie w rok po objęciu urzędu nowy burmistrz stanął przed problemem pustek w skarbcu. Moraes nie należał do polityków stosujących subtelne metody, co udowodnił w dniu pogrzebu poprzednika. W czasie, jaki minął od tamtych wydarzeń, zdążył pozbyć się z miasta ośmiu bękartów Silveiry i ożenić z jego jedyną córką. Nawiązał też dobre stosunki z alkadami z sąsiednich miast; początkowa rezerwa urzędników stopniała, kiedy Anibal urządził na ich cześć wystawną kolację, a resztką nieufności uleciała, gdy na zakończenie wieczoru każdy uczestnik przyjęcia otrzymał kosztowny prezent. Wydawało się, że nikt nie mógł zagrozić jego pozycji. W obliczu pustki w kasie burmistrz uznał więc, że może sobie pozwolić na utratę sympatii mieszkańców prowincji. I ogłosił wzrost podatków.

Podwyżka była spora. Przeciętny obywatel musiał teraz płacić nawet więcej niż za czasów Silveiry. Dotyczyło

to również eremantczyków, kiedy zatem ci następnym razem znaleźli się w budynku magistratu, kwota, jakiej od nich zażądano, znacznie przekroczyła sumę uzyskaną ze sprzedaży wina. Mężczyźni nie przejęli się tym wcale, jakby nie zrozumieli, czego się od nich domaga. Jak zawsze opróżnili kieszenie, wysypując pieniądze wprost na biurko skarbnika, i szybko ruszyli w powrotną drogę. Eremanta wzywała.

Urzędnik spojrział na stos monet przed sobą. Za mało – ocenił z wprawą. Dokładnie przeliczył pieniądze, a brakującą sumę skrupulatnie wpisał w rubrykę opatrzoną tytułem zaległości.

Scena powtarzała się w następnych latach. Dług wsi rósł w ogromnym tempie, gdyż każdego roku do zaległego podatku dochodziły wysokie odsetki. A kiedy zadłużenie przekroczyło astronomiczną kwotę tysiąca realów, Eremantą zainteresował się sam burmistrz.

Działania Anibala Moraesa od zawsze charakteryzowała niecierpliwość. To ona nie pozwoliła mu czekać, aż jego urzędnicza kariera nabierze rozpędu, i to ona kazała mu jednym ryzykownym ruchem sięgnąć po najwyższą władzę. Jednak odkąd został burmistrzem, musiał częściej niż kiedykolwiek wcześniej opanowywać swoją porywczność. Nie miał już bowiem dawnej swobody; ograniczały go prawo, godność stanowiska, a nade wszystko sztab sekretarzy, gotowych w każdej chwili wytknąć mu niestosowne zachowanie. Dlatego również w sprawie Eremanty Anibal stłumił pierwszy impuls, podpowiadający najlepsze i najprostsze rozwiązanie. Zamiast tego sięgnął po pióro i napisał ponaglący list.

Minęło wiele lat, odkąd ostatni raz ktoś wysłał list do Eremanty.

Kurier, któremu powierzono dostarczenie przesyłki, wyraźnie się stropił. Był pewien, że zna wszystkie wsie i miasteczka prowincji. Fusetta, Vila do Minho, Monfique, Borbato, Redongo – długo mógłby wymieniać. Ale Eremanta? O niej nie słyszał nigdy. Sekretarz Moraesa, który wręczył mu kopertę, na pytanie o położenie wsi wzruszył ramionami. Tak samo reagowali wszyscy zapytani. Posłaniec znalazł się w niecodziennej sytuacji: już od kilku godzin w kieszeni ciążył mu list z pieczęciami burmistrza, a on wciąż snuł się po ulicach Vila Famalio i nie wiedział nawet, w którą stronę powinien ruszyć. Dopiero karczmarz w Złamanej Róży, gdzie zdesperowany mężczyzna udał się w poszukiwaniu dzbana, a nie informacji, udzielił mu wskazówek:

— Gdzieś w górach. Gdzie dokładnie, nie wiem...
Moje najlepsze wino pochodzi stamtąd. — Oczy szynkarza błysnęły chciwie.

Wyprawy do Serra Maladety nie były nowością dla posłańca. Jednak to konkretne zadanie zdawało się przerastać jego możliwości. Napotkani żołnierze skierowali go w najbardziej wyludnioną część gór, gdzie błądził przez kilka dni. Proste ścieżki prowadziły wciąż w to samo miejsce, a wzgórza wydawały się identyczne i utrudniały orientację. Ale dopiero kiedy wreszcie znalazł się w wiosce, stanął w obliczu prawdziwych trudności. Na kopercie brakowało nazwiska.

Wysłanie listu poprzedzone było wielkim zamieszaniem w magistracie: tak szukano informacji o Eremancie. Podobnie jak kiedyś urzędnicy burmistrza Silveiry, tak teraz podwładni jego następcy wertowali wszystkie pochodzące z ostatniego wieku akta magistratu. Jednak znów, jak lata wcześniej, nie można było znaleźć żadnego wpisu dotyczącego mieszkańców wsi, ani jednej petycji

czy prośby o interwencję u sędziego, ani jednego nazwiska. Starsze dokumenty zniszczył pożar, który wybuchł w dniu przejścia władzy przez Moraesa, więc jego urzędnicy nie mieli nawet informacji, którymi dysponowali ich poprzednicy. Jeden z sekretarzy zasugerował w końcu, na pół żartobliwie, że wioska po prostu nie istnieje.

— Płacą podatki, znaczy żyją — uciął spekulacje Anibal i zamasztył pismem człowieka, który już raz przekonał się, że siłą woli może zmienić rzeczywistość, zaadresował list w sposób następujący: „Do mieszkańców Eremanty”.

Kurier z tak zaadresowaną kopertą w ręku chodził od drzwi do drzwi wioski. Część domostw sprawiała wrażenie niezamieszkanych. W pozostałych długo nie odpowiadano na pukanie. Kiedy ktoś wreszcie pojawiał się w progu, posłaniec pokazywał list, tłumacząc, że przesyłka zawiera ważną wiadomość od burmistrza. Ale za każdym razem miało to jednakowy efekt: eremantczyk wzruszał ramionami i znikał we wnętrzu domu. List zostawał w wyciągniętej dłoni kuriera.

Mężczyzna przeklinał chwilę, w której podjął się dostarczenia przesyłki. Przeklinał też samą Eremantę. Atmosfera wsi zaczęła na niego oddziaływać i jego serce skurczyło się ze strachu. Tylko siłą woli powstrzymał się od ucieczki. Wyobrażał sobie, co zrobi z nim burmistrz, jeśli przyniesie informacje o swojej porażce. Zdawało mu się, że chodzi po pustych ulicach już całe dni, choć w rzeczywistości nie minęła godzina, odkąd przekroczył granicę wioski. Szczęśliwym trafem następny dom, do którego zapukał, należał do Matiasa Barrosa, potomka rodziny sołtysów.

Widok oficjalnych pieczęci na liście obudził w Matiasie instynkty, o których istnieniu młody Barros nawet nie

wiedział, a które czekały właśnie na taką chwilę. Przed jego oczami odżyły sceny, w których łamano dziesiątki podobnych pieczęci. Słyszał trzask pękającego wosku, widział ręce prostujące zapisane kartki, czuł szorstkość papieru. Ale to nie były jego ręce; na ich palcach błyszcząły bowiem pierścienie, a wokół nadgarstków marszczyły się strojne mankiety. A same listy – zawięte w rulon, sztywne i żółte, nie miały nic wspólnego z cienką kopertą, którą trzymał kurier.

Matias wyciągnął dłoń. W jego wyobraźni ruch ten odbił się setkami podobnych ruchów jego przodków, swobodnie sięgających po korespondencję. I, tak jak podpowiadały echa przeszłości, chociaż umiejętność czytania zaginęła już w jego rodzinie, złamał pieczęć i otworzył kopertę.

Wkrótce po tym, jak skończyła się żałoba po Guidzie, zmarła matka Ines i rodzina Sousów znów przywdziała czarne ubrania. Sześćdziesięcioletnia Sofia cieszyła się doskonałym zdrowiem i nikt nie spodziewał się jej śmierci. Przez ostatnie dwadzieścia lat żyła samotnie w ogromnym i pustym domu Gomezów, tym samym, który w czasie narzeczeńskich wizyt wydawał się Pedrowi przepełniony. Wtedy spotkaniom zaręczonej pary towarzyszyli rodzice Ines, brat Victor wraz z młodą żoną Rosalią oraz prababka Maria Anita. Ale w ciągu zaledwie kilku następnych lat dom się wyludnił. Najpierw wyprowadziła się Ines. Dom Pedra znajdował się na przeciwnym krańcu wioski i trzeba było mieć ważny powód, aby przemierzyć długie zakurzone uliczki, oddzielające go od siedziby Gomezów, więc młoda mężatka rzadko odwiedzała rodzinę. Kilka miesięcy po ślubie Ines z domu

zniknął także jej ojciec, następnie – brat. Viktor nigdy się nie dowiedział, że dziecko, które nosiła w brzuchu jego żona, przyszło na świat martwe, a Rosalia wykrwawiła się w połogu. Niedługo potem śmierć niemal stuletniej babki Marii Anity zamknęła serię zgonów w rodzinie, z której ocalała tylko Sofia.

W ten sposób, w ledwie kilka lat po tym, jak ojciec Ines jednym gestem włączył go do klanu Gomezów, Pedro został ostatnim żyjącym mężczyzną w rodzinie. Czując się odpowiedzialnym za osamotnioną teściową, zaproponował jej, aby zamieszkała w jego domu. Liczył też na to, że obecność matki będzie pomocą dla Ines, gdyż malutka Teresa wciąż wymagała nieustannej uwagi, a wkrótce miało się narodzić drugie dziecko. Jednak Sofia nie przyjęła propozycji. Zajął się gospodarstwem, zaniedbanym od czasu zniknięcia Victora. Teraz, kiedy nikt nie potrzebował jej w domu, kiedy nie musiała zajmować się ciężarną synową ani doglądać Marii Anity, cały czas poświęcała uprawie warzyw i hodowli kóz.

Sytuacja, w jakiej znalazła się matka Ines, nie należała do niezwykłych. W Eremancie niemal na każdej ulicy można było znaleźć domy zamieszkanne przez samotne wdowy. Niektóre z kobiet wciąż miały we wsi dzieci bądź wnuki, ale, tak jak Sofia, wołały pozostać tam, gdzie umieścił je los. Dla innych samotność nigdy nie była kwestią wyboru.

Wbrew obawom Pedra teściowa radziła sobie dobrze. Gospodarstwo prosperowało niemal tak samo jak za czasów, gdy żył jej mąż i syn. Sofia zrezygnowała jedynie z produkcji wina i szeroki pas winorośli, od pokoleń należący do rodziny Gomezów, zarastał teraz chwastami. Pedro z żalem patrzył, jak szlachetne pędy dziczeją. Rozważał nawet przejęcie tego kawałka na własny

użytek, ale po namyśle zrezygnował, gdyż podobnie jak domy Sousów i Gomezów, tak i uprawiana przez nich ziemia leżała po przeciwnych stronach wioski.

Wiele lat później, kiedy pomocne ręce nastoletniego Guida usprawniły pracę w winnicy, Pedro przypomniał sobie o starym pomysle. Razem z synem poszedł na południowe stoki, gdzie słońce sprzyjało dojrzewaniu najlepszych owoców i gdzie kiedyś znajdowała się winnica Gomezów. Teraz ziemię pokrywała tu gęsta płatanina roślinności. Po ścieżkach, niegdyś starannie wytyczonych, nie było śladu. Zarosły desmodium i krzakami mahoni, a winne pędy, tylko gdzieniegdzie jeszcze widoczne, powoli umierały pod ich naporem. Pedro po raz drugi dał za wygraną.

Po śmierci Sofii poszedł tam po raz trzeci. Winnica Gomezów – teraz oficjalnie jego własność – w niczym nie różniła się od nieużytków i Pedro zastanawiał się, jakie będą losy jego spuścizny, winnicy po drugiej stronie wioski, którą pielęgnował przez tyle lat. Guido zniknął pół roku wcześniej. Dwudziestoletnia Teresa wciąż była niezamężna, a młodych mężczyzn, potencjalnych kandydatów do jej ręki, wśród mieszkańców Eremanty można było policzyć na palcach.

Nie tylko Pedro wybrał się oglądać ziemie po Gomezach. Tego samego dnia Ines wślizgnęła się do rodzinnego domu, a tuż za nią weszła Teresa. Dziewczyna odziedziczyła urodę po matce i gdyby nie włosy, jasne i falujące, można by ją było wziąć za młodą Ines. W takie same loki układały się włosy czterech sióstr Pedra, ale ani o tym, ani w ogóle o istnieniu sióstr Sousa Teresa i jej matka nie wiedziały.

W wielkiej i pustej siedzibie Gomezów Teresa nie czuła się swobodnie. Nawet za życia babki Sofii bywała

tu rzadko. Dom sprawiał na niej przygnębiające wrażenie. Nie rozumiała, do czego jedna kobieta mogła potrzebować tylu mebli i dlaczego było takie ważne, żeby każdy z nich znajdował się zawsze na swoim miejscu. Wokół wielkiego stołu w jadalni musiało stać dwanaście krzeseł, choć babka nigdy nikogo nie zapraszała, a posiłki spożywała w kuchni. W pokojach na piętrze wciąż także stały łóżka, komody i szafy – powoli butwiejące i rozpadające się, ale ciągle pełne nieużywanych ubrań i naczyń, jakby na kogoś czekały. Teraz stało się jasne, że nadaremno – Sofia zmarła, a jej córka i wnuczka przyszły tutaj tylko na chwilę, za chwilę wyjdą, zamkną za sobą drzwi i być może nigdy nie będą miały powodu, aby kiedykolwiek tu zajrzeć.

Teresa nie wiedziała, jaki był cel ich wizyty w pustym domu Gomezów i obojętnie podążała za matką od jednego zakurzonego pokoju do drugiego. Ines po kolei otwierała wszystkie szafy i szuflady, przez chwilę wpatrując się w ich zawartość. Niczego nie przestawiła, nie zabrała, nawet nie dotknęła. Po prostu patrzyła. Jakby chciała zapamiętać wzory na stojącej w kredensie zdekompletowanej zastawie stołowej albo kolejność, w jakiej ułożono w szafach spłowiałe męskie koszule. Wreszcie zaprowadziła córkę do pokoju Marii Anity Gomez.

W malutkim pomieszczeniu na poddaszu mieściło się więcej mebli niż w którymkolwiek innym pokoju. Stół, krzesła, łóżko, szafy i komódki – w pierwszej chwili Teresa pomyślała, że znalazły się w domowym składziku. Przeszła przez próg i stanęła obok matki, zajmując resztę wolnej przestrzeni. Zdawało się jej, że w pomieszczeniu nie można teraz zrobić kroku ani nawet obrócić się. Jej spódnica musnęła stojący przy łóżku taboret i na czarnej tkaninie pozostały szarawe smugi kurzu. Taboret,

podobnie jak inne sprzęty, sprawiał wrażenie kruchego, jakby mógł rozpaść się pod jednym dotknięciem.

Ines otworzyła największą szafę. Drzwiczki poruszyły się niechętnie, odsłaniając rząd sukien. Ich barwy przyciągnęły wzrok Teresy. Czerwienie, żółcie, błękity – choć wyblakłe, wciąż mieniły się przed oczami. Takich kolorów nie noszono we wsi. Tu królowały praktyczne brązy i szarości albo żałobna czerń.

I ozdoby! Spojrzenie dziewczyny dopiero po chwili wyłapało hafty, koronki, perłowe guziki i pióra, które upiększały sukienki. Tych strojów na pewno nie uszyto z myślą o Eremancie. Nie pasowałyby do piaszczystych dróg i sypiących się domostw, nie pasowałyby do tutejszych kobiet.

Dziewczyna stała bez ruchu, nie odważyła się nawet wyciągnąć ręki, tylko spojrzeniem pochłaniała kolejne szczegóły zawartości szafy. Odwróciła wzrok, dopiero kiedy usłyszała przeciągłe skrzypienie zawiasów.

Wnętrze drugiej szafy wypełniały stopy kartonów. Sterty mniejszych lub większych kawałków papieru leżały na każdej półce. Ines sięgnęła po jeden. Zdmuchnęła kurz i na poźółkłej kartce pojawiły się niewyraźne kształty. Otarła rysunek rękawem i położyła go na stole, w jasnym prostokącie światła z okna. Przed oczami Teresy rozegrała się pierwsza scena z życia prababki.

Narodzinom Marii Anity towarzyszył splot niezwykłych okoliczności. Rok rozpoczął się wyjątkowo surową zimą. Śnieg, nawet w wysoko położonej Eremancie pojawiający się zazwyczaj jedynie na kilka dni, leżał grubą warstwą przez całe miesiące. Wiosna trwała krótko i ledwo przyszła, ustąpiła miejsca upalnemu latu. Dzień po dniu bezlitosne słońce przypiekało górskie zbocza, aż zdychały pozostawione na pastwisku kozy.

Winne liście uschły, grona skarłały i obumarły z braku wody. A jesienią, w dniu, w którym na świat przysła Maria Anita, wzgórza i doliny Serra Maladety zdrząły w potężnym trzęsieniu ziemi.

W domach Eremanty podskoczyły stoły i krzesła. Naczynia spadły z półek, a szyby w drzwiczkach kredensów rozdzwoniły się. Sypialnię matki Marii Anity przedzieliło na pół głębokie pęknięcie w suficie. Biały pył zatańczył w powietrzu i opadł na podłogę. Milcząca akuszerka jedną ręką oparła się o ścianę, a drugą otarła twarz i czoło rodzącej. Potem znów przesunęła się w nogi łóżka. Dziecko mogło urodzić się w każdej chwili.

Kolejny wstrząs poruszył posadami budynku, na nowo inicjując koncert trzasków i brzdęków. Łóżko zdrząło i podskoczyło na roztańczonej podłodze, na chwilę zawisło w powietrzu, aż wreszcie opadło, a wtedy żywy balast opuścił ciało leżącej kobiety. Do hałasów spadających naczyń dołączył przenikliwy płacz noworodka.

Położna, nie zważając na zniszczenia, umyła dziecko, owinęła je w kocyk i ułożyła obok matki. Maria Anita nie przestawała płakać. Jej powieki zacisnęły się w dwie fałdy, otwarte wargi odsłoniły nagie dziąsła, a z gardła wydostawał się przeciągły krzyk. Trzęsienie ziemi się skończyło, grunt pod stopami eremantczyków znowu znieruchomiał, godziny mijały, a niemowlę nie cichło. Matka tuliła je do serca, ojciec kołysał w ramionach, starsze rodzeństwo nieśmiało głaskało po główce, a ono zanosilo się szlochem, mącąc nieskazitelną ciszę wioski. Nie jadło i nie spało. Płakało.

Ale pierwsze łzy z zaciśniętych oczu Marii Anity popłynęły dopiero nazajutrz. Jednak zamiast bezbarwnych kropelek, na policzkach dziewczynki pojawiła się krew.

Rankiem drugiego dnia sądzono, że śmierć dziecka to kwestia godzin. Posłano po księdza, aby udzielił chrztu lub, co bardziej prawdopodobne, odprawił pogrzeb. Jednak kiedy ten przyjechał, Maria Anita wciąż żyła. Świdrujący krzyk zamienił się w ledwie słyszalne kwilenie, ale strużki krwi ciekły z oczu dziewczynki nieprzerwanie. Na ich widok ojciec Herberto padł na kolana.

— To dziecko krwawi, by przypomnieć nam o wylanych na Golgocie łzach Bożej Matki! — wykrzyknął. — Czy czujecie słodką woń unoszącą się w powietrzu?

Odpowiedziała mu cisza. Herberta nie zraziła ignorancja wieśniaków. W głębi duszy był mistykiem gorąco przekonanym o tym, że Bóg nazaczył go stygmatami, i stale poszukującym znaków, które mogłyby potwierdzić ten stan wewnętrzny przed światem. Drobną ranką na czole stawała się śladem po cierniowej koronie, a w zadrapaniach, które zostawiła na jego dłoni gałąź głogu, dopatrywał się kształtu krzyża. Rany te rozczarowywały nietrwałością, ale pozwoliły księdzu zdobyć wprawę w rozpoznawaniu otrzymywanych od Boga charyzmatów od ich nędznych imitacji. Poderwał się z podłogi, sięgnął po niemowlę i zawinął w poję płaszcz.

— Zabieram ją do biskupa — oznajmił.

Nikt nie śmiał zaprotestować, nawet zboląła matka, która dwie noce czuwała nad córką, ale która też, spodziewając się, że dziecko lada moment umrze, już się z nim w duchu pożegnała.

Biskup Vila Famalio, Gervasio Alvarez, wydawał tego wieczoru uroczystą kolację na cześć niezwykłego gościa, podróżnika i przyrodnika Abília Torcata, który kilka lat wcześniej zyskał wielką sławę za sprawą badawczej wyprawy do kolonii i sprowadzenia stamtąd niezwyklej kolekcji zadziwiających okazów flory i fauny. Abilio wra-

cał właśnie do stolicy ze wschodnich rubieży kraju, gdzie przywiodła go śmierć stryjecznej babki, gdy w okolicach Vila Famalio zaskoczyło go trzęsienie ziemi, poważnie uszkadzając powóz i strasząc woźnicę tak, że ten o mało nie wyzionął ducha. Torcato nie miał innego wyjścia, jak poczekać na naprawę połamanych osi i strzaskanych kół w Vila Famalio. Zatrzymał się w zajezdzie Pod Różą, najlepszym, jak mu powiedziano, w mieście.

— Nie uwierzy pan, jakie niedorzeczne historie krążą o nich wśród prostego ludu — mówił biskup, nachylając się ku uczonemu. — Niektórzy na przykład wierzą, że ich kolor jest wynikiem palącego słońca. Inni, wśród nich również świątli ludzie, uważają, że w chwili narodzin diabeł ochlapuje ich smołą. Wyobraża pan sobie większą bzdurę, Torcato? Dziecko wychodzi z brzucha kobiety białe, a chwilę później pojawia się czart z wiaderkiem smoły! Smoły, Torcato. Smoły! Tymczasem prawda jest taka, że szatan bierze w posiadanie nie ich ciała, lecz dusze. Ciemny kolor skóry jest tylko bladym refleksem czerni, która przyobleka ich wnętrza, a dla nas, chrześcijan, jest znakiem, że oto mamy do czynienia ze sługą piekieł.

Abílio w milczeniu skubał wąsy. Podróżnik bowiem, od lat łysy jak kolano, z upodobaniem pielęgnował gęsty i smolisty wąs, który nadawał mu niezwykle wygląd.

— Oczywiście nie możemy zostawić tych nieszczęśników w ręku szatana — kontynuował Alvarez. — Naszym zadaniem jest oczyścić ich dusze i uczynić z nich owieczki Boże. Szczere nawrócenie spowoduje, że ich skóra zbieleje.

Biskup zamierzał jeszcze wspomnieć o wybielających właściwościach kąpieli w wodzie święconej, ale jego przemowa została gwałtownie przerwana. Do sali wtarg-

nał ojciec Herberto, rozdarł poły płaszcza i na stole, pomiędzy półmiskami z jedzeniem, położył zawiniątko z Marią Anitą.

Dziewczynka leżała cicho i nieruchomo, z trudem oddychając przez otwarte usta. Spływająca po jej policzkach krew wsiąkała w nałożony na główkę wełniany czepek.

Alvarez nie patrzył na dziecko. Wbił gniewny wzrok w intruza, w którym rozpoznał proboszcza górskiej parafii Sao Felix.

— Cud... — wydyszał ksiądz, który pokonał drogę z Eremanty bez chwili spoczynku, a potem uciekał przed strażnikami w pałacowych korytarzach. Służba stała teraz niepewnie w drzwiach, jakby ze wstydem, czekając na polecenia albo okrzyki niezadowolenia biskupa.

— Dziecko płacze krwią... Cud — powtórzył Herberto.

— Cud? — wycedził biskup — To zwykła bezczelność, by w ten sposób zakłócać kolację wydaną na cześć mego gościa. A to — wskazał niemowlę — jest mistyfikacja.

— Na własne oczy widziałem naczynie wypełnione krwią... Matka dziecka wycisnęła ją ze szmatki, którą ocierała jego łzy. To cud! — upierał się proboszcz.

— Mistyfikacja! — odparował Alvarez.

Na policzku niemowlęcia wykwitła wielka czerwona łza.

— Interesujące — odezwał się milczący dotąd Torcato.

Dwaj przekrzykujący się mężczyźni jednocześnie odwrócili głowy.

— Jak duże było to naczynie? — zapytał podróżnik.

Proboszcz wskazał na jeden z półmisków na stole.

— Interesujące — powtórzył Abílio i czując na sobie wzrok Alvareza, rozgorączkowanego księdza i służących, dodał — znam się nieco na medycynie i z przykrością muszę stwierdzić, że niemowlę wkrótce umrze. To, czy upływ krwi jest cudem, czy objawem choroby, jest kwestią otwartą – i pewnie taką pozostanie, jeśli pozwolimy dziecku umrzeć. Jego śmierć uniemożliwi odkrycie prawdy, a na dodatek obciąży nasze sumienia, gdyż zamiast je ratować, dyskutujemy nad zagadnieniami teologicznymi.

— Co robić? — Herberto spojrział na niemowlaka.

— Jest tylko jeden sposób, głupcze — odezwał się biskup. — Trzeba napoić dziecko krwią, która z niego wyciekła.

Abílio z uznaniem pokiwał łysą głową.

— Biskup wciela w życie naukowe podejście, o którym tyle dyskutowaliśmy — powiedział, skłoniwszy się nieznacznie w stronę Alvareza. — Aczkolwiek, jak pewnie ekscelencja pamięta, Risquez w swoim niedawnym dziele o anatomii zaleca wprowadzenie krwi bezpośrednio do żył chorego.

W oczach przysłuchującego się Herberta zatliła się nadzieja. Zarzucił płaszcz na ramiona i ruszył ku drzwiom.

— Nie ma takiej konieczności, zapewniam — zatrzymały go słowa Torcata, który bezbłędnie odczytał zamiary księdza. — Potrzebujemy świeżej krwi, a nie tej zastalej ciecicy, w którą na pewno zamieniła się już krew zgromadzona przez matkę. Potrzebujemy... Niech pomyśle...

Przez głowę podróżnika przemknęło kilka możliwości. Po pierwsze, zwierzęta. Czytał o wielu udanych przypadkach przetoczenia krwi owczej, krowiej, a nawet końskiej. Zazwyczaj dawało to mało pożądanego efektu

uboczny: pacjent zyskiwał cechy zwierzęcia. I tak człowiek, w którego żyły wiano krew owcy, stawał się płochliwy, niepewny i chętnie podążał za każdym, kto okazał mu odrobinę życzliwości. Ci, którzy otrzymali krew krowią, zamieniali się w istoty łagodne, ze skłonnością do wielogodzinnego trwania w bezruchu. Końska krew, zwłaszcza źrebięca, powodowała natomiast nadmierną pobudliwość.

Zjawisko było tak znane, że borykający się z problemem przepelnionego więzienia burmistrz pewnego miasta na wschodzie zaproponował przestępcom wolność i kasację wyroków w zamian za zgodę na wpuszczenie do krwiobiegu kilku litrów owczej krwi. Torcato nie potrafił sobie przypomnieć, czy eksperyment się powiódł i czy rzezimieszki zza krat stały się na wolności potulne jak baranki. Podróżnik chętnie sprawdziłby teraz na własne oczy działanie mechanizmu i wstrzyknął w żyły Marii Anity choćby krew jagnięcą, ale wpadł mu do głowy lepszy pomysł. Skinął głową na służącego.

— Biegnij do zajazdu Pod Różą — rozkazał. — Powiedz dwóm chłopcom, których zastaniesz w moim pokoju, aby przynieśli skrzynię z instrumentami medycznymi.

Niedługo potem w progu sali stanęli wezwani pomocnicy. Jeden miał sześć, może siedem lat, drugi niewiele więcej. Służący biskupa musiał ich wyrwać ze snu, bo jedwabne koszule oraz szyte na miarę kamizelki i spodnie chłopców były pogniecione. Starszy pocierał pięścią sklezione powieki, a młodszy ziewał, pokazując białe zęby, świecące niemal w kontraście z czarną jak węgiel skórą.

W jadalni zapadła cisza.

— Bliżej! — Podróżnik przywołał czarnoskórych chłopców, a podczas gdy zbliżali się, dźwigając drewnia-

ny kufer, Abílio wyjaśnił — przygarnąłem ich podczas mojej ostatniej zamorskiej podróży. Ich rodzice zginęli w zamieszkach plemiennych, które są prawdziwą plagą w zachodniej części kolonii... — Przerwał i całą uwagę skupił na przeglądaniu zawartości skrzyni. Wreszcie wyciągnął z niej instrument składający się z dwóch przezroczystych rurek połączonych drewnianym łukiem, od którego odchodził niewielki tłok.

— Izaak — Torcato przemówił do młodszego chłopca — przypomnij sobie dzień, kiedy spadłeś z powozu i złamałeś rękę. Usztywniłem ci ramię i kość się zrosła.

— Samuel — wzrok podróżnika spoczął na starszym bracie Izaaka — pamiętasz, jak oblałeś się wrzółkami, a ja wyleczyłem poparzenia, smarując je maścią? — I zwrócił się do ich obu — teraz wy macie okazję komuś pomóc, tak jak ja pomogłem wam. Obiecuję, że w nagrodę ofiaruję wam po realu... Chociaż mogę zrobić to już teraz.

Torcato wyciągnął z kieszeni dwie monety i wręczył je chłopcom. Potem spojrział na nich z powagą.

— Chciałbym, żebyście pozwolili mi upuścić waszej krwi i wtłoczyć ją do żył tego dziecka. — Jego ręka wskazała na leżącą na stole Marię Anitę.

Ten gest jak zaklęcie zburzył ciszę, która od wejścia chłopców zawisła nad jadalnią. Z ust Herberta i służby wydostały się okrzyki oburzenia. Jedynie Alvarez wciąż milczał.

W biskupie rozgorzała wewnętrzna walka. Duchowny i przedstawiciel Kościoła mocował się w jego duszy z miłośnikiem nauki, prenumeratorem periodyku poznawczego „Ingenium Novus” i osobą ciekawą wszelkich nowinek ze świata.

— Czyż nie żyjemy we wspaniałych czasach? — pytał czasem swoich sekretarzy hasłami ze spisu treści nauko-

wej broszury. — Właśnie odkryto nową planetę i nazwano ją Grawitacja!

Przy innej okazji oznajmiał:

— Powietrze składa się z dwóch gazów o kontrastowych kolorach, które mieszając się, zyskują przezroczystość.

W nieoczekiwanym pobycie w mieście słynnego podróżnika i odkrywcy widział okazję do spotkania z bratnią duszą. Wyobrażał sobie długie rozmowy, ba, zaciekle dysputy, które ze sobą przeprowadzą. Tymczasem Torcato głównie milczał, na pytania odpowiadał półsłówkami i ożywił się dopiero na widok płaczącego krwią dziecka. Jednak o ile dostojnik mógł – ewentualnie – wybaczyć gościowi brak chęci do dyskusji, o tyle nie mógł przymknąć oczu na wprowadzenie w jego progę owoców czarnego nasienia! Spojrzał na stopy chłopców. Były obute i wyglądały zupełnie zwyczajnie. Przesunął wzrok wyżej, ale gęste, kręcone włosy na głowach braci uniemożliwiały ustalenie, czy pomiędzy kędziorami nie wyrastały przypadkiem rogi.

Abílio rozpoczął przygotowania do transfuzji. Wyłuskał Marię Anitę spod warstw koców, którymi okryła ją jeszcze matka. Podwinął rękaw koszuli Samuela i zamierzył się, by w czarne przedramię wkluć ostry koniec jednej z przezroczystych rurek narzędzia.

— Chwileczkę — odezwał się wreszcie Alvarez. — Jako biskup mam obowiązek dbać przede wszystkim o zbawienie moich parafian.

— Ależ oczywiście — skwapliwie przytaknął Torcato. — Izaak! Samuel! Do błogosławieństwa! — zakomenderował, udając, że nie rozumiał prawdziwych obaw dostojnika.

Biskup spojrział na dwie pochylone przed nim czarne główki i uderzył pięścią w stół.

— Dość, panie Torcato! — wykrzyknął. — Jak pan śmie proponować mieszanie krwi niewinnego dziecka z krwią tych... tych... antychrystów?!

Podróżnik pobladł. Odwrócił się ku służącym, którzy zamarli we wciąż otwartych drzwiach i próbowali nie uронić ani słowa z toczącej się wymiany zdań. Razem z nimi słuchał proboszcz Herberto.

— Niech Bóg będzie mi świadkiem, że nie spodziewałem się usłyszeć takich słów w Vila Famalio. — Abilio zwiesił głowę w głębokim rozczarowaniu. — Jednak skoro nawet tutaj, nawet w Vila Famalio, padły te fałszywe oskarżenia, zaprezentuję wam świadectwo, które przekonywało najbardziej prymitywnych ludzi, mieszkających w najbardziej zacofanych zakątkach kraju. — Położył dłonie na ramionach czarnoskórych chłopców. — Zaczynajcie.

Z ust Izaaka i Samuela wydostały się pierwsze tony psalmu. „*Deus Deus meus ad te de luce vigilo, sitivit in te anima mea, quam multipliciter tibi caro mea...*”. Dźwięczne głosy z uczuciem wznosiły się i opadały, wyznając tęsknotę do Jahwe. Ci, spośród świadków tej sceny, którzy przymknęli powieki, gotowi byli uwierzyć, że oto chór aniołów zstąpił z nieba do Vila Famalio. Nie było nikogo, kto wątpiłby w krystaliczną czystość dusz chłopców.

„*Rex vero lætabitur in Deo, laudabuntur omnes qui iurant in eo: quia obstructum est os loquentium iniqua*” – zabrzmiały ostatnie słowa hymnu, ale demonstracja jeszcze się nie zakończyła. Torcato wykonał ruch ręką niczym dyrygent. Chłopcy wyrecytowali *Oratio Dominica* oraz *Credo*, a następnie odśpiewali kolejny psalm. Ich oczy błyszczały natchnieniem, głosy były czyste i silne. Sprawiali wrażenie, jakby mogli śpiewać i deklamować

przez wiele godzin, jednak Abílio, który z niepokojem zerkał na leżącą bez życia Marię Anitę, przerwał pokaz.

— Ekscelencjo, czy teraz pozwoli mi ekscelencja spełnić chrześcijańską powinność i uratować życie temu dziecku?

Oczy proboszcza Herberta i wszystkich przysłuchujących się modlitwom służących spoczęły na biskupie. Po długiej chwili Alvarez w milczeniu kiwnął głową.

Torcato nie tracił czasu. Przezroczyłą rurką połączył ciała dawcy i biorcy. Maria Anita nawet nie drgnęła, kiedy ostra końcówka zagłębiła się w jej ciele. Od strony Samuela rurka zaczerwieniła się od krwi, po stronie dziecka pojawiła się jedynie niska strużka. Abílio złapał za umieszczony pośrodku instrumentu tłok i miarowymi ruchami zaczął przeciągać go w górę i w dół. Krew chłopca powędrowała ku ramieniu niemowlaka. Ciszę przerwał niespodziewany hałas i spojrzenia zgromadzonych powędrowały ku wyjściu, gdzie w progu leżała zemdlona kucharka. Do jadalni zwabiły ją niebiańskie głosy Izaaka i Samuela. Razem z resztą służących ze zdumieniem patrzyła przez uchylone drzwi na dwóch czarnoskórych chłopców i leżące na biskupim stole niemowlę, ale nerwy puściły jej dopiero na widok przetaczanej krwi.

Po kilku minutach podróznik przerwał pompowanie, ostrożnie wyjął rurkę z ciała Samuela i opatrzył niewielką ranę na jego ramieniu. Teraz przyszła kolej Izaaka. Tymczasem ciało Marii Anity straciło niedawną błądź, oddech stał się głębszy, ale po jej policzkach wciąż spływały krople krwi.

— Interesujące — wymruczał Torcato.

Kiedy zabieg dobiegł końca, obu chłopców ogarnęło jednakowe osłabienie. Izaak wtulił się w śpiącego brata i nic, nawet powiew rześkiego powietrza, kiedy służący

biskupa nieśli ich do zajazdu Pod Różą, nie mogło ich obudzić. Natomiast Maria Anita odzyskała siły. Szczerze powiedziawszy, nie spodziewał się tego nawet sam Abílio. Z jej na nowo zaróżowionych ust unosił się przenikliwy szloch.

— Wszystko na nic — wycodził biskup. — Dziecko wciąż łzawi krwią.

Torcato, na powrót pewny siebie, uśmiechnął się i poprosił Alvareza o chwilę rozmowy na osobności.

Nikt nie słyszał przedziwnej argumentacji, opartej na mieszance faktów i zabobonów, której użył Abílio, aby przekonać biskupa do przekazania mu pieczy nad niemowlęciem. W tym samym zdaniu powoływał się na autorytet Tremblaya, którego prace považał i znał niemal na pamięć, oraz zmyślonego Risqueza, którego równie fikcyjne dzieło o anatomii cytował już wcześniej tego wieczoru. Nazwisko to Torcato zapożyczył od wilka morskiego z „Belli”, frachtowca, na którym podróżnik odbywał swą ostatnią wyprawę do kolonii. Risqueze – marynarz, nie anatom – odznaczał się niezwyklej posturą oraz zamiłowaniem do rumu i niewątpliwie zdziwiłby się bardzo, gdyby usłyszał, że podróżnik przypisuje mu odkrycie rzadkiej choroby krwi, której długotrwałe leczenie wymagało ponoć medykamentów niemożliwych do zdobycia poza stolicą.

— Zrobiliśmy wszystko, co było w ludzkiej mocy, i teraz życie dziewczynki jest w ręku Boga. Opiekę nad nią powierzam panu, Torcato — oznajmił wreszcie biskup po powrocie do jadalni. Proboszcz Herberto czekał tam dalej. — Pora udać się na spoczynek.

Alvarez chciał jak najszybciej zakończyć przedłużającą się niespodziewanie kolację. Nie potrafił pozbyć się wrażenia, że Torcato zrobił z niego głupca.

Marię Anitę zaniecono do zajmowanego przez podróżnika pokoju i położono obok Izaaka i Samuela. Chłopcy wciąż spali głęboko, mimo krzyków dziewczynki oraz niespokojnych kroków krążącego wokół łóżka Abília.

Wreszcie niemowlę ucichło, a z jego oczu przestały płynąć krwawe łzy. Na twarzy Torcata pokazała się ulga. Uczony przywołał mamkę, którą wcześniej kazał znaleźć i która czekała już w korytarzu. Po zakończeniu pierwszego w życiu posiłku Maria Anita zasnęła.

O świcie następnego dnia Torcato razem z Izaakiem, Samuelem, Marią Anitą i wynajętą kobietą opuścił Vila Famalio. Dziewczynka miała tu powrócić dopiero za dziewiętnaście lat.

Maria Anita rosła zdrowo, a krwawy płacz nigdy się nie powtórzył. Jej wychowaniem zajęli się Izaak i Samuel. Pracując w gabinecie swojego domu na rua da Samaritana na obrzeżach stolicy, Abílio nieraz podnosił wzrok znad biurka i patrzył, jak bracia bawią się z dzieckiem. Nigdy nie przypuszczał, że jego, pochłoniętego pracą kawalera, los obdarzy trójką podopiecznych. W takich chwilach, zanim jego uwagę na powrót przyciągały łacińskie nazwy pasożytniczych grzybów lub opis właściwości minerałów, uśmiechał się i z zadowoleniem gładził smoliste wąsy. Czasem tylko cisza, z jaką bawiły się dzieci, przypominała mu o zmartwieniu i wtedy jego twarz poważniała. Maria Anita była niema.

Początkowo milczenie dziecka kładł na karb niezwykłych wydarzeń tuż po narodzinach, które mogły opóźnić rozwój organizmu. Jednak po kilku latach i wielu konsultacjach z najlepszymi lekarzami musiał pogodzić się z faktem, że dziewczynka nie mówi. Powód takiego stanu rzeczy pozostawał zagadką. Więzadła głosowe rozwijały się prawidłowo, słuch nie był uszkodzony,

a kiedy uczony wracał pamięcią do kolacji u biskupa w Vila Famalio, w jego uszach pobrzmiwał przejmujący płacz, który wydostawał się z ust niemowlęcia.

Torcato nie tracił jednak czasu na zgłębianie tajemnicy milczenia Marii Anity. Zamiast tego postanowił ułatwić dziewczynce życie. Rozpoczął od studiów nad językiem migowym, przekazując następnie całą zdobytą wiedzę Samuelowi i Izaakowi. Ci z kolei rozpoczęli szkolenie Marii Anity i z czasem cała czwórka osiągnęła taką biegłość w posługiwaniu się niosącymi znaczenia gestami, że nawet między sobą przedkładali ten sposób porozumienia nad słowa. Dopiero obecność innych ludzi zmuszała ich do korzystania z ochrypłych od nieużywania głosów.

Torcato osobiście zajął się edukacją Marii Anity, stosując dokładnie ten sam program nauczania, co w przypadku Samuela i Izaaka. Składał się on tylko z tych przedmiotów, które Abílio uznał albo za piękne, albo za niezbędne. W wieku siedemnastu lat dziewczyna potrafiła więc czytać po francusku i łacinie oraz znała podstawy botaniki i zoologii. Jej orientacja w anatomii znacznie przewyższała wiedzę, jaką w tej dziedzinie miały matrony z gromadką dzieci, nie mówiąc już o przeciętnej siedemnastolatce. Jednak każda przeciętna siedemnastolatka bez trudu wykazałaby swoją wyższość nad Marią Anitą w hafcie, tańcu, sztuce układania włosów czy graniu popularnych sonat na klawesynie. Abílio po prostu nie widział potrzeby, aby zapewnić także takie wykształcenie swojej podopiecznej. Ani by wyposażyć ją w odpowiednią garderobę. Maria Anita nosiła spodnie i koszule, raz do roku szyte przez krawca, według tego samego wzoru dla niej, Izaaka i Samuela, a jej włosy były równie krótkie jak włosy chłopców. Kiedy więc

Torcato namówił króla na sfinansowanie kolejnej zamorskiej wyprawy i spojrzął na Marię Anitę, nie zobaczył młodej kobiety, kryjącej się pod chłopięcym ubraniem, ale niewinne dziecko, którego nie sposób zostawić samego. Podróżnik nie wahał się dłużej: dziewczynka miała popłynąć z nimi.

Wyprawa trwała ponad rok. Najpierw przez miesiąc żeglowali po bezkresie oceanu. Kolonie, kiedy wreszcie przybili do ich brzegu, w jednakowym stopniu oszołomiły Marię Anitę i Izaaka, który opuścił tę ziemię w zbyt młodym wieku, aby przez lata zachować w pamięci jej obraz. Natomiast starszy, Samuel, sprawiał wrażenie, jakby odzyskał utracony dom. Chętnie przebywał z Murzynami i szybko wróciła mu też dawna sprawność w posługiwaniu się ojczystym językiem. Między pozostawionymi samym sobie Marią Anitą i Izaakiem zrodziła się bliskość, pozwalająca im wśród obcego, spalonego słońcem krajobrazu przetrwać dni i przetrzymać noce, których ciszę raz po raz zakłócały ryki dzikich zwierząt. Spędzali ze sobą niemal każdą chwilę i to chłopak jako pierwszy oglądał przedstawiające egzotyczną roślinność i zwierzęta rysunki, których wykonanie nakazał dziewczynie Torcato. Abílio zauważył jedynie, że szkice Marii Anity są coraz lepsze. Dlatego kiedy dziewczyna oznajmiła, że pragnie wyjść za mąż za Izaaka, z rąk zaskoczonego uczonego wypadła książka.

Działo się to kilka tygodni po powrocie z wyprawy. Mieszkali teraz we trójkę, gdyż Samuel na własne życzenie został w koloniach. Abílio mocno przeżył rozstanie z wychowankiem, ale wkrótce nawał zajęć pozwolił mu nieco zapomnieć o smutku. Dla uczonego bowiem zasadnicza praca dopiero się zaczynała. Trzeba było otworzyć dziesiątki przywiezionych z ekspedycji kufrów,

skatalogować, opisać i bezpiecznie umieścić w szklanych gablotach upchane w bagażach minerały oraz zasuszone okazy roślin i zwierząt. Jego przyjaciele z Akademii, nie mogąc doczekać się chwili, kiedy zobaczą te wszystkie skarby, pisali ponagląjące listy. „Wszyscy z wielką przyjemnością posłuchamy o pańskich odkryciach podczas specjalnego wykładu”, zapewniał przewodniczący Akademii. Torcato spędzał więc całe dni zamknięty w gabinecie i właśnie tam udała się Maria Anita, aby przedstawić swoje życzenie.

Abílio długo patrzył na nią w milczeniu.

— Jesteście jeszcze dziećmi — powiedział wreszcie.

— Dziećmi? Mam osiemnaście lat, a Izaak niedługo skończy dwadzieścia cztery.

Oboje osiągnęli wiek odpowiedni do małżeństwa i nawet Torcato, którego świat poza nauką nudził i nie interesował, wiedział o tym i mógł jedynie westchnąć nad upływającym czasem.

— Co na to Izaak? — zapytał bez przekonania, bo domyślał się przecież, że gdyby chłopak nie darzył Marii Anity uczuciem, dziewczyna w ogóle nie przychodziłaby do niego.

— Pragnie tego równie mocno.

Uczony zastanowił się.

— A jednak nie ma go tutaj. A przecież to mężczyzna powinien pytać opiekuna upatrzonyj dziewczyny o jej rękę. Nie odwrotnie.

— Brak mu odwagi. Twierdzi, że nasze małżeństwo nie ma szans, a ty się na nie nigdy nie zgodzisz.

— Więc Izaak uważa, że nie powinniście się pobierać, dobrze zrozumiałem?

Przez twarz Marii Anity przemknęła rozpacz i rezygnacja. Jednak zaraz jej rysy stwardniały na powrót.

— Znasz przyczyny obaw Izaaka, więc powinieneś wiedzieć, że nie można wykorzystywać jego strachu przeciwko niemu, ale należy raczej współczuć mu z tego powodu.

Torcato zmarszczył brwi, usiłując pod surowym grymasem ukryć rodzicielską dumę. Oto stała przed nim młoda kobieta, obdarzona sercem wystarczająco wielkim, aby pokochać swego murzyńskiego towarzysza; przenikliwością, by dostrzec i zrozumieć powody jego nieobecności w takiej chwili, i wreszcie odwagą, żeby walczyć o ich wspólne szczęście. Wiele by dał, aby móc przychylić się do jej prośby. Ale nie mógł.

— Nie zwalnia mnie to jednak od obowiązku uświadomienia ci, że jeśli się pobierzecie, lęki Izaaka staną się rzeczywistością. Małżeństwo białej kobiety z czarnym mężczyzną nigdy nie zostanie zaakceptowane.

Maria Anita nie czekała z ripostą. Użyła tych samych słów, które wielokrotnie słyszała od opiekuna, kiedy ten tłumaczył podopiecznym, na czym polega człowieczeństwo. Abílio, wbrew sobie, kontrargumentował. Przywoływał sceny z przeszłości, reakcje ludzi, również szanowanych i świątłych członków społeczeństwa, na bratersko-siostrzaną komitywę między Marią Anitą, Izaakiem i Samuelem, nawet na samą obecność chłopców w kraju. Z upływem lat sztuczka, którą Torcato zastosował przed biskupem Vila Famalio, miała coraz słabszy efekt. Choćby podróżnik kazał nauczyć się wychowankom nie wiadomo ilu psalmów i modlitw, nic nie mogło ukryć faktu, że anielskie głosy chłopców zamieniły się w skowyt przechodzących mutację nastolatków, a później w kakofonię niezgranych, za to całkiem dorosłych basów. Na dodatek bracia wyrosli na wysokich, muskularnych młodzieńców, żadną miarą

nieprzypominających niebiańskich cherubinów. Na ich widok mężczyźni spluwali na ziemię i odruchowo chowali za sobą żony i dzieci.

— Czy na pewno chcesz męża, który będzie wzbudzać takie reakcje? — pytał teraz Torcato.

— Nigdy nie pytałeś, czy chcę takiego brata — Maria Anita odparowywała z pasją.

Jeśli w tej chwili przypadkowy przechodzień z rua da Samaritana zabląkałby się na tyły domu uczonego i przez otwarte okno zajrzał do wnętrza gabinetu, zobaczyłby niecodzienną scenę. Oto dwoje ludzi stało w ciszy po przeciwnych stronach zavalonego książkami biurka. Co jakiś czas jedno z nich wykonywało gwałtowne gesty, którym druga osoba przypatrywała się z wielką uwagą. Twarze obojga zmieniały się co chwila, wyrażając to zaskoczenie, to satysfakcję, to inne, trudniejsze do uchwycenia i nazwania emocje. Przechodzień z dużą pewnością mógłby stwierdzić, że przed jego oczami toczy się rozmowa, aczkolwiek jej temat i charakter pozostawałyby dla niego nieznane.

Jednak kiedy wyczerpany jałowym sporem Abílio opadł na krzesło, a jego wzrok powędrował ku oknu, widoku na ogród nie zasłaniała żadna sylwetka. Nie było żadnego przechodnia, jedynie w dali, między drzewami granatu, przechadzała się pani Brejo. Patrząc na zarządczynię, jej wysoko ułożone włosy i ozdobną suknię, uczoney wpadł na pewien pomysł.

— Wyrażę zgodę na to małżeństwo — zwrócił się do Marii Anity — pod jednym warunkiem. Przez rok będziesz żyła tak, jak żyją wszystkie dziewczęta w twoim wieku. Będziesz chodzić do opery i na koncerty, brać udział w balach i innych towarzyskich spotkaniach. Będziesz spacerować po parkach i flirtować z młodymi mężczy-

znami. Jeśli po roku twoje uczucie do Izaaka pozostanie tak samo mocne, poprowadzę was do ołtarza.

— Niech tak będzie — odrzekły po chwili ręce dziewczyny.

Jeszcze tego samego popołudnia Torcato przywołał panią Brejo i przez kilka godzin naradzał się z nią w zamkniętym gabinecie. Nazajutrz zarządczyni przystąpiła do realizacji zadania, którego chętnie podjęłaby się kilka lat wcześniej, w dniu, kiedy rozpoczęła pracę u Torcata, ale którego to zadania wówczas jej odmówiono: przedzierzgnięcia Marii Anity w kobietę. Przez drzwi domu na rua da Samaritana przewinęła się procesja krawców, bieliźniarek, pończoszarek, szewców i kapeluszników, posłano również po jubilera, by perłami i złotem przypieczętować przemianę dziewczyny. Jej włosy, nieobcinane od chwili wyjazdu do kolonii i teraz luźno zwisające w sięgających ramion lokach, zostały upięte do góry i mocno upudrowane. Największym wyzwaniem dla pani Brejo był jednak całkowity brak ogłady towarzyskiej dziewczyny. Zarządczyni przystąpiła więc do przyspieszonych lekcji wdzięcznego poruszania się, dygania oraz tańca. Naukę haftu i gry na klawesynie odłożyła na później i jedynie ze sztuki konwersacji musiała z oczywistych względów całkiem zrezygnować. W zamian instruowała Marię Anitę: uśmiechaj się! I tak długo powtarzała to polecenie, aż ze zmęczenia usta dziewczyny wykrzywił grymas niemający nic wspólnego z uśmiechem.

Tydzień później zaczęło się: bale, przyjęcia, wizyty w teatrze. Podczas tych rozrywek Marii Anicie towarzyszył zawsze Torcato, który pośredniczył w komunikowaniu się niemej wychowanki ze światem. Abílio nudził się śmiertelnie i zamiast słuchać opery lub konwersować z sąsiadem przy stole, od czasu do czasu pozwa-

łał myślom dryfować ku skarbowi wciąż zamkniętym w przywiezionych z kolonii kufrach, przeważnie jednak zaciskał zęby i wzorowo wykonywał nałożony na siebie obowiązek.

Początkowo sprawy układały się po jego myśli. Pojawienie się Marii Anity wywołało sporo poruszenia w towarzystwie. Widoczne gołym okiem braki ogłady rekompensowały poważanie, jakim darzono jej opiekuna, oraz – może nawet w większym stopniu – niezwykła uroda dziewczyny. Choć daleko jej było do powszechnie znanych piękności stolicy, powabnej Alexandry Samudio, wielbionej przez poetów Filipy Veraud czy obdarzonej mleczną cerą Leticii Reyes, siostrzenicy bankiera Cau, egzotyka rysów jej twarzy przyciągała spojrzenia zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Wobec takiego zainteresowania nawet ułomność okazywała się atutem. Język migowy stał się modny na salonach. Młodzieńcy i dziewczęta prześcigali się w jego nauce, wkrótce nawet starsze pokolenie uległo zwyczajowi, aby w każdej rozmowie, niezależnie od tego czy Maria Anita była podczas niej obecna, czy nie, wtrącić w nim kilka słów. Kiedy dziewczyna znajdowała się w towarzystwie, niemal zawsze reagowała w ten sam sposób:

— Nie musicie tego robić — zapewniały jej ręce.
— Nie umiem mówić, ale słyszę doskonale.

I właśnie podobne, nazbyt szczere reakcje Marii Anity spowodowały spadek jej popularności. Torcato, który kilka miesięcy wcześniej zachęcał wszystkich do nauki języka migowego, ba, udzielał lekcji, teraz z żalem drapał się po łysej głowie. Powiniennem był to przewidzieć, myślał. Przecież tyle razy musiał wygładzać zbyt śmiałe sądy czy omijać mało stosowne słowa, kiedy tłumaczył

wypowiedzi dziewczyny. Teraz, kiedy całe towarzystwo rozumiało ją bez pomocy pośrednika, Abílio stracił możliwość łagodzenia jej wypowiedzi.

Wraz ze zbliżaniem się końca wyznaczonego rocznego okresu w uczonym malowała nadzieja na znalezienie odpowiedniego męża dla wychowanki. Grono jej adoratorów rozpieczęściło się. Nawet bratanek matematyka i przyjaciela Torcata z Akademii, młody Bruno Severa, któremu Abílio skrycie sprzyjał i który zdawał się darzyć Marię Anitę prawdziwym uczuciem, przestał towarzyszyć im podczas spacerów czy przychodzić do ich łoża w trakcie teatralnych przerw. Ale największym rozczarowaniem uczonego było zachowanie dziewczyny. Nic nie wzbudzało jej zachwytu, ani wspaniałe bale, ani znakomite towarzystwo, ani nawet śpiew słynnego włoskiego tenora, który tego lata przybył do stolicy. Posłusznie brała udział we wszystkich spotkaniach i nie stroniła od rozrywek, które zapewniał jej opiekun, ale naprawdę ożywiała się dopiero po powrocie do domu, widząc Izaaka. Z taką werwą zaczynała opowiadać o absurdach towarzyskiej etykiety, kpiała z głupoty utytułowanych kobiet oraz próżności ich mężów, że chłopak nie mógł powstrzymać śmiechu, choć wiedział, że wywoływało to niezadowolenie Torcata.

Abília ogarnął ponury nastrój. Wreszcie, na tydzień przed upływem wyznaczonego terminu, nie pozostało mu nic innego, jak wyznać wychowankom prawdę.

Maria Anita i Izaak, szczęśliwi i zakochani, weszli do jego gabinetu, trzymając się za ręce.

— Nie możecie się pobrać — oznajmił Torcato — gdyż w waszych żyłach płynie ta sama krew. A to czyni was rodzeństwem. — I opowiedział o transfuzji, której poddał dopiero co narodzoną Marię Anitę.

Dziewczyna słuchała uważnie, ale na jej twarzy pojawiło się niedowierzanie. Myślała, że historia Abília jest kolejną sztuczką, mającą zniechęcić ją do małżeństwa.

Tymczasem w pamięci Izaaka uchyliła się przyprószona kurzem czasu kurtyna i ręka chłopaka wypuściła dłoń narzeczonej. Przed jego oczami przesunęła się surowa twarz biskupa Alvareza i znów poczuł ukłucie na przedramieniu. Jak mógł zapomnieć? Jego ciało ogarnęła nagła słabość, podobna do tej, którą poczuł, kiedy patrzył na swoją krew płynącą ku ramieniu niemowlęcia. Schował twarz w dłoniach i wybiegł z gabinetu.

— Więc to prawda — powiedziały ręce poblądłej Marii Anity.

Ani dziewczyna, ani Izaak, przywykli do tego, by widzieć w opiece niepodważalny autorytet naukowy, nie kwestionowali wniosków, jakie wysnuł z faktu transfuzji krwi. Również sam Torcato mocno – być może zbyt mocno – wierzył w swoje kompetencje. Maria Anita miała wrażenie, jakby za winy, których nie popełniła, osądzono ją i zamknięto w głębokim lochu, a wyrok, który zapadł, był niepodważalny.

Następny tydzień był dla pani Brejo prawdziwym testem na cierpliwość. Ostatni rok pozwolił zarządczyni mieć nadzieję, że dziwactwa jej pracodawcy dobiegły końca. Z aprobatą patrzyła, jak ubrany dostojnie Torcato i jego wreszcie elegancka wychowanka wychodzą na bale i przyjęcia, jak zapraszają na kolacje towarzyską śmietankę stolicy. Nagle wszystko to urwało się i od tej pory domownicy spędzali całe dnie zamknięci w swoich pokojach. Służba jak zwykle podawała śniadania, obiady i kolacje, ale że dania jedynie stygły w pustej jadalni, ładowano talerze z powrotem na tacę i stawiano je przed drzwiami gabinetu uczonego, sypialnią Marii Anity

i pokojem Izaaka. Talerze te rzadko były opróżniane, co nie zmusiło pani Brejo do zmiany rozporządzeń, widząc w nich jedyne uzasadnienie dla swojego zatrudnienia i sówitej pensji.

Dom sprawiał wrażenie niezamieszkanego. Przez wiele dni ciszy nie mąciły niczyje kroki, powietrze w korytarzach stało się ciężkie i nieruchome, nawet zegary tykały ciszej. Na biurku w salonie rosła sterta nieprzeczytanych listów, a gości, którzy od czasu do czasu pukali do drzwi, pani Brejo zmuszona była informować, że pan Torcato i jego wychowanka wyjechali na wieś. Wypytywana o szczegóły, czerwieniła i płacząc się w wyjaśnieniach, każdym kolejnym zdaniem przeczyła poprzedniemu.

Któregoś dnia, spacerując w ogrodzie, zobaczyła Marię Anitę stojącą w oknie swojej sypialni. Podeszła bliżej i na widok potarganych włosów, bladej i wychudłej twarzy, a przede wszystkim pustego wzroku, wpatrzonego w niebo, krzyknęła z przerażenia. Krzyk zarządczyni musiał dotrzeć do Marii Anity, bo ta natychmiast wycofała się w głąb pokoju.

Wreszcie po dziesięciu dniach ciszę domu przerwało głośne przekleństwo Izaaka, który potknął się o leżące przed progiem jego sypialni talerze. Chłopak szybko się opanował i skierował kroki ku gabinetowi Torcata.

— Idę na wojnę — oświadczył uczonemu, który siedział w fotelu i wyglądał, jakby nie ruszał się z tego miejsca od czasu ich ostatniej rozmowy. Jedyne jego czarne wąsy przyprószyła siwizna.

Abílio milczał. W młodości też chciał zaciągnąć się do wojska. Zakochany bez wzajemności, widział w śmierci na polu bitwy jedyną możliwość godnej ucieczki od cierpienia. Był już spakowany i gotowy do

drogi, kiedy otrzymał list od studiującego za granicą przyjaciela, w którym ten przedstawiał wielce ciekawą hipotezę dotyczącą sposobu rozmnażania pewnego gatunku ryby rzecznej. Młody Torcato w jednej chwili zapomniał o kobiecie, która go odrzuciła, zapomniał o walkach toczących się w dalekiej Serra Maladecie i wziął się od razu do obmyślenia sposobu na potwierdzenie nowej teorii.

Teraz jestem już za stary na wojnę, pomyślał. Czy rzeczne ryby zdołają przywrócić mnie do życia?, westchnął w duchu i po raz ostatni uściskał Izaaka.

Ledwie za chłopakiem trzasnęły drzwi wyjściowe, ledwie jego kroki zachrzęściły na wiodącej ku ulicy, wysypanej żwirem ścieżce, gdy do gabinetu Torcata weszła Maria Anita.

— Czy moi rodzice naprawdę zginęli w trzęsieniu ziemi? — zapytała.

Abílio skurczył się w fotelu.

— Nie — odpowiedział, przyznając się do podtrzymanego przez osiemnaście lat kłamstwa.

— Kim są?

— Nigdy ich nie spotkałem. Nawet nie wiem, gdzie mieszkają ani jak się nazywają. Dlatego dałem ci nazwisko Torcato, choć nigdy nie ukrywałem, że nie jesteś moją córką.

— A imię?

— Imię? — zdziwił się uczony, ale zaraz zrozumiał. — Nie, imię wybrała twoja matka. Tylko tyle zdołałem dowiedzieć się od księdza, który cię przyniósł.

Dziewczyna patrzyła na niego nieufnie.

— Musisz mi uwierzyć — wybuchnął Torcato. Jego dłonie ze świstem przecinały powietrze. — Ten klecha był szalony! Uważał, że jesteś wcieleniem płaczącej pod

krzyżem matki Chrystusa. Nawet w imieniu, którym ochrzciła cię matka, dopatrywał się znaku!

Maria Anita wzruszyła ramionami i oznajmiła:

— Chcę pojechać do Vila Famalio i odnaleźć moich rodziców.

Abílio przez chwilę mierzył wzrokiem wychowankę.

— Duchowni, a wśród nich ksiądz z Vila Famalio, widzą rękę Boga w każdym, choćby najbardziej banalnym zdarzeniu. Zmiana pór roku, wybuch wulkanu, kształt chmury na niebie – wszystko jest dla nich przejawem działania nadprzyrodzonej siły. Ja wierzę w naturę, w przyczynę i skutek. Wierzę w naukę, która analizuje skutki i odkrywa przyczyny.

— Jaki to ma związek ze mną?

— Według moich wyliczeń w trakcie pierwszych dwóch dni po narodzinach wypłakałaś całą swoją krew. Co do kropli. Dopiero kiedy w twoich żyłach została tylko krew Izaaka i Samuela, przestałaś płakać. Jaki może być powód, że organizm niemowlęcia, poza tym zupełnie zdrowy, pozbywał się niezbędnej do życia krwi?

Torcato zamyślił się, jakby po raz pierwszy postawił sobie to pytanie.

— Prawda jest taka, że nie znam odpowiedzi, mam jedynie hipotezę. Myślę, że w twojej krwi było coś, co zagrażało organizmowi. Wirus albo załążek choroby odziedziczony po rodzicach. Dlatego — westchnął — myślę, że twoi rodzice już nie żyją. Zabiło ich to, co próbowało zabić i ciebie.

— Muszę to sprawdzić.

— Nie rób tego — wyszeptał uczony, porzucając naukowe wywody i argumenty. Na myśl, że dziewczyna miałaby go opuścić, ogarniał go całkiem irracjonalny lęk.

Maria Anita uznała, że dalsza dyskusja nie ma sensu, i ruszyła ku wyjściu.

— Pamiętaj, gdzie jest skutek, jest i przyczyna. Jeśli tam wrócisz, grozi ci niebezpieczeństwo! — wykrzyknął za nią Abílio i wyczerpany, opadł na fotel.

Jednak tego dnia nie był mu dany spokój, bo ledwie drzwi zamknęły się za Marią Anitą, do gabinetu zapukała zarządczyni. Pani Brejo oznajmiła, że dłużej tego nie zniesie (ale czego?, przelotna myśl przemknęła w umęczonym umyśle uczonego) i rezygnuje z posady ze skutkiem natychmiastowym. Następnie odwróciła się na pięcie i na zawsze zniknęła z domu na rua da Samaritana.

Do podróży Maria Anita pakowała się więc sama. Ulubione przez nią chłopięce koszule i spodnie, które ostatni raz nosiła podczas wyprawy za morze, były za małe, więc chcąc nie chcąc, do kufra wkładała suknie balowe i te uszyte z myślą o popołudniowych herbatkach. Na siebie założyła zaś strój do konnej jazdy, składający się z żakietu i prostej spódnicy. Tak przygotowana, wsiadła do powozu. Obok zasiadł, zupełnie już siwowąsy, Torcato. Stosunki między opiekunem a wychowanką były w tych dniach napięte, ale uczonego zignorował zapewnienia dziewczyny, że znakomicie poradzi sobie sama.

— Jeśli myślisz, że towarzystwo w stolicy jest głupie i małostkowe, zaczekaj, aż usłyszysz biskupa Vila Famalio — próbował żartować.

Jednak kiedy po długiej podróży dotarli do miasta na skraju Serra Maladety, okazało się, że Alvarez od wielu lat nie żyje.

— Atak podagry — poinformował jego następcę i zaraz wyjaśnił, widząc zdziwione spojrzenie Torcato.

— Sporządzona przez doktora maść nie pomagała, więc biskup wzmocnił skład jakimś sobie tylko znanym specyfikiem. A potem, zamiast smarować nią chorą stopę, zjadł całą zawartość słoiczka. Zmarł tydzień później w potwornych męczarniach.

Nowy biskup nie wiedział o wydarzeniach sprzed prawie dwudziestu lat, więc gościom nie pozostało nic innego, jak się pożegnać.

— Zaczekaj. — Maria Anita przystanęła w progu.
— Zapytajmy o parafię w górach.

Torcato spojrział zdziwiony.

— Kiedy w dzieciństwie pytałam o rodziców, mówiłeś o górskiej wiosce dotkniętej trzęsieniem ziemi — wyjaśniła dziewczyna. — Może krył się w tym okrucieństwo?

Biskup podejrzliwie przyglądał się dziwnym gestom dziewczyny i natychmiast zapalał niechęcią do przyjezdnych ze stolicy. Jednak poinformował ich o ojcu Herbercie, proboszczu górskiej parafii, od przeszło dwudziestu lat mieszkającym w Sao Felix, największej wiosce w tamtym regionie.

Ojciec Herbercio natychmiast rozpoznał Torcata, którego łysa głowa i wąsy zapadły mu w pamięć, ale wcale nie ucieszył się na jego widok.

Dziewiętnaście lat temu z niecierpliwością czekał na tę wizytę. Często stawał na skraju wioski i spoglądał na prowadzący z miasta trakt, spodziewając się powozów Alvareza i Torcata, tworzących świątę odprowadzającą cudowne dziecko do jego miejsca urodzenia. Ile czasu potrzeba, myślał zniecierpliwiony, aby rozpoznać prawdziwą naturę krwawych łąz? Jednak droga pozostawała pusta. Nie było śladu nawet po zwykłych pątnikach, którzy masowo zwykli pielgrzymować do każdej miejscowości, gdzie objawiła się Najświętsza Paniienka. I z czasem

Herberto zrozumiał, że go oszukano. Zarówno Alvarez, jak i Torcato zataili przed światem wiadomość o cudzie z Eremanty. Zostałem z niczym, dumiał, przypatrując się rance na dłoni, która zamiast krwawić świętą krwią, goiła się zaskakująco szybko.

Odkrycie to zapoczątkowało całkowitą przemianę ojca Herberto. Łagodny, jeśli nie naiwny czciciel świętego Franciszka przeistoczył się w zgorzkniałego moralistę, dostrzegającego wszędzie samo zło. Pokuty, które podczas spowiedzi zadawał parafianom, stawały się coraz surowsze, a upomnienia, wygłaszane z ambony, coraz ostrzejsze. Właśnie kazania, gdyby ktoś zadał sobie trud prześledzenia ich treści, najlepiej dokumentowały zmianę światopoglądu duchownego.

— Musicie zrozumieć — grzmiał teraz w każdą niedzielę — że na ziemi nie ma Boga, Jego mieszkanie jest w Niebie i tylko w Niebie! Doczesność składa się jedynie z zastawianych przez Złego pokus, pułapek i omamów.

Głęboko wierzył w te słowa i za każdym razem, kiedy je wypowiadał, jego rozpacz rosła. Każdego wieczoru bezskutecznie próbował zagłuszyć ją kilkoma kubkami lokalnego wina, a w miarę upływu lat potrzebował ich coraz więcej.

Teraz na widok Marii Anity, dorosłej i eleganckiej, splunął na ziemię.

— Szatańskie nasienie. Lepiej byłoby, gdybyś się wcale nie urodziła — wyszczał pod nosem. Zgodnie ze swoimi nowymi przekonaniem nie widział już w Marii Anicie śladu boskiej obecności wśród ludzi.

Zaskoczona dziewczyna wpatrywała się w niego nic nierozumiejącym spojrzeniem. Aby ksiądz zgodził się wreszcie zabrać ich do Eremanty, Torcato musiał użyć całego swojego daru przekonywania – oraz obiecać

pięćdziesiąt realów. Lokalne wino nie należało do dro-
gich, ale ofiary uzyskiwane z parafii były tak nędzne, że
Herberto nieustannie stawał przed groźbą wyczerpania
zapasów swojego wieczornego medykamentu.

Ruszyli natychmiast. Ksiądz dosiadł swojego stare-
go kasztana, a Abílio i Maria Anita koni wyprzężo-
nych z bezużytecznego na górskich szlakach powozu.
Wierzchowiec dziewczyny dźwigał też przytroczony do
grzbietu jej kuferek.

Skierowali się w głąb Serra Maladety i wkrótce łagod-
ne wzniesienia otaczające Sao Felix zostały zastąpione
przez wysokie góry przypominające uśpione olbrzy-
my, których najeżone głazami kręgosłupy sterczą ostro
ku niebu. Słońce zawisło w zenicie, redukując cienie
podróżnych do wąskich pasków pełzających między
końskimi kopytami. Od czasu do czasu podrywał się
wystraszony ptak, na chwilę mącąc spokój południa
i pogłębiając tylko wrażenie pustki.

Ale góry nie były bezludne. Służyły za plac bitwy
dwóm wielkim armiom i stanowiły strefę działalności
kilku zbójckich band. Członkowie jednej z nich szybko
wypatrzyli podróżnych, zwracając szczególną uwagę na
wytworny strój Marii Anity oraz pakunek na grzbiecie
jej konia. Herszt szajki rozkazał przygotowanie zasadzki
w dolinie, ku której kierowali się jeźdźcy, nieświadom,
że w zaroślach po bokach czaili się już gotujący do
starcia żołnierze, na lewym zboczach armia w niebieskich
uniformach, na prawym – w czerwonych.

Od dawna już tylko kolor odróżniał walczące stro-
ny. Ubrani w czerwone kurtki żołnierze instynktownie
obdarzali braterskimi uczuciami nieznanymi, którzy
w innych oddziałach również nosili czerwień, natomiast
nienawiść zarezerwowali dla tych, których mundury miały

odcień niebieski. Ich przeciwnicy zachowywali się oczywiście odwrotnie, z całego serca nienawidząc czerwonych, a bratając się z niebieskimi. Nikt nigdy nie zastanawiał się, kim naprawdę byli ludzie, których uważano za towarzyszy, a kim ci, których traktowano jak wrogów. Język barw w zupełności wystarczał i czasami można było odnieść wrażenie, że wojna toczy się między kolorami. Przywiązane do swoich barw wojska każdego dnia ryzykowały dla nich życie i żadna z walczących stron z pewnością nie uwierzyłaby, że czerwone mundury były niegdyś żółte, a niebieskie – zielone. A jednak tak właśnie było, umundurowanie zmieniało się co kilka pokoleń. Kolor żółty był poprzedzony przez brąz, a zielony przez szary. Przed brązem natomiast królował błękit, a przed szarością – czerwień; tym samym historia dokonała jednego ze swych złośliwych zwrotów, zamieniając barwy walczących stron.

Dowódca czerwonej armii, przyczajony na prawym zboczu i nieświadomy zagmatwanych dziejów kolorystyki umundurowania, miał właśnie dać sygnał do ataku, kiedy na ścieżce zobaczył konną grupkę i jego uniesiona ręka zamarła. Podobnie zareagował komendant niebieskich i wrogie wojska z jednakowym osłupieniem obserwowały, jak środkiem kotliny sunie konwój składający się z księdza, eleganckiej dziewczyny oraz łysiego mężczyzny. Wtedy do akcji wkroczyli zbóje.

Wśród ukrytych w zaroślach żołnierzy znajdował się Izaak. Osłupienie, które ogarnęło go na widok Marii Anity i Torcata, szybko zamieniło się w bezsilną furję. Uzbrojeni bandyci otoczyli trójkę jeźdźców, a on mógł tylko na to beczynnie patrzeć, gdyż na pozycji wstrzymywał go brak rozkazu dowódcy.

Izaak dotarł do Serra Maladety ledwie kilka dni wcześniej. W jego uszach wciąż brzmiała żołnierska przysięga,

którą składał w chwili zaciągania się w szeregi niebieskiej armii. Posłuszeństwo, karność, dyscyplina – te słowa powtarzały się w niej kilka razy. Chłopak patrzył teraz to na nieruchomą rękę komendanta, to na ścieżkę. Wreszcie, widząc jak jeden ze zbirów złapał Marię Anitę za ramię i omal nie ściągnął jej z konia, rzucił się w dół na pomoc. A armie ruszyły za nim. Żołnierze niebiescy potraktowali bowiem jego ruch jako sygnał do ataku; czerwoni zaś odpowiedzieli szturmem na ofensywę przeciwnika. Dwie armie starły się pośrodku kotliny, walcząc przeciw sobie oraz bandytom. Zbóje bronili się zacięcie, jednocześnie nie spuszczać z oka kufra Marii Anity.

Ojciec Herberto wykazał się największą przytomnością umysłu spośród trójki jeźdźców, którzy niespodziewanie znaleźli się pośrodku bitwy. Wypatrzył wąski przesmyk między walczącymi i kierując tam konia, zawołał Torcata i dziewczynę, aby podążyli za nim. Ksiądz usłyszał też herszt zbójckiej bandy. Widząc, jak zwykły napad przerodził się w rzeź jego ludzi, bandyta czuł, że jego krew burzy się wściekłością i żądzą zemsty. Uniósł karabin i wycelował w łysą głowę uczonego.

Ciało Abília zsunęło się z konia i Maria Anita otworzyła usta w niemym krzyku. Dalsze wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Jeden ze zbójów pociągnął dziewczynę za włosy, usiłując zrzucić z siodła. W tej samej chwili z czerwono-niebieskiego chaosu bitwy wyłonił się żołnierz, którego twarz wydała się jej znajoma. Żołnierz wycelował w bandytę, ale jego spojrzenie na ułamek sekundy zatrzymało się na Marii Anicie, a palec z opóźnieniem nacisnął spust karabinu, dając przeciwnikowi czas na dobyte broni. Izaak! – eksplodowało w myślach dziewczyny. Ale było już za późno. Rozległy się dwa jednoczesne wystrzały i dwa ciała, jedno w zbójckich

łachmanach, drugie w niebieskim mundurze, upadły na ziemię.

Koń Marii Anity stanął dęba, zarżał dziko i puścił się w szalony galop między walczącymi żołnierzami. Tylko przypadek sprawił, że skierował się w stronę wylotu z doliny, wkrótce dołączając do cwałującego co sił w starych nogach kasztana ojca Herberto. Dystans między dwójką jeźdźców a polem bitwy rósł z każdą chwilą. Niebawem przed nimi ukazały się dachy Eremanty.

Maria Anita wkraczała w cień Eremanty ze świadomością, że jej dotychczasowe życie rozprysło się jak mydlana bańka. Izaak i Torcato nie żyli, od Samuela odgradzały ją tysiące mil morskich. Jedynie to mi zostało, myślała, patrząc na połamane ławki na werandach. Co mnie tu czeka? Czy kiedyś będę mogła nazwać to miejsce domem? Jej wzrok wędrował po zakurzonych oknach i zwisających na pordezewiałych zawiasach drzwiach.

Pierwsze dni w wiosce okazały się dla niej niezmiernie trudne. Duszne powietrze sprawiało, że Maria Anita czuła się niezdrowa, zupełnie jakby wdychała trujące wyziewy. Zawroty głowy nękały ją, nawet gdy leżała nieruchomo na łóżku, w skromnym pokoju, który wyznaczili dla niej rodzice. Były chwile, kiedy myślała, że zapadła na tajemniczą chorobę, przed którą przestrzegali Torcato, i że wkrótce umrze.

A rodzice... Z trudem przychodziło jej myśleć w ten sposób o wysokim mężczyźnie z brodą i kobiecie w ciemnej sukni, których wskazał jej ojciec Herberto. Bezskutecznie wpatrywała się w ich twarze, szukając oznak radości z jej powrotu. Na próżno usiłowała też odnaleźć ślady podobieństwa. Masz spojrzenie dzikiego kota, powtarzał jej kiedyś rozkochany Bruno

Severa. Twoje usta mają niezwykle kształt, przyznawały zazdrosne damy ze śmietanki towarzyskiej stolicy. W rysach matki i ojca nie dostrzegła śladu niezwykłości, jedynie pospolitość, której nie zdołała przełamać nawet osobliwa bladeść, charakteryzująca wszystkich mieszkańców wioski.

Co zostało we mnie z dziecka, które urodziło się w tym domu podczas trzęsienia ziemi dziewiętnaście lat temu?, rozmyślała, złożona niemocą, cierpiąca po stracie najbliższych. Czy wraz z krwią utraciłam całe rodzicielskie dziedzictwo? Czy kształt moich warg i intensywność spojrzenia pochodzą od czarnoskórych przodków Samuela i Izaaka? Wreszcie czy to wszystko – Maria Anita przewróciła się na twardym sienniku, jej wzrok prześlizgnął się po nagich ścianach i łuszczącym się suficie – było warte życia Torcata i Izaaka?

Rodzeństwo – kilka lat młodszy Cosme oraz starsza Alda, zamężna, z dwójką dzieci – przyjęło ją równie obojętnie jak rodzice. O istnieniu najstarszego brata dowiedziała się dopiero później, natykając się na nieużywane męskie ubrania i buty, i tym samym odkrywając los eremanckich mężczyzn. W każdym razie przez pierwsze miesiące pobytu w wiosce rzadko widywała się zarówno z siostrą, jak i bratem. W gruncie rzeczy z nikim się wtedy nie spotykała. Całe dni spędzała w pokoju, opłakując śmierć Abília i Izaaka oraz utratę szczęśliwego życia w domu na rua da Samaritana. Z rozrzewnieniem wspominała wędrówki po spalonej słońcem ziemi w koloniach, a nawet znieprawione niegdyś wieczorki towarzyskie. Tamte czasy wydawały jej się teraz bardzo odległe. Czy naprawdę czytała kiedyś francuskie rozprawy filozoficzne? Czy naprawdę tańczyła w najwspanialszych salach balowych? Nosila wytworne suknie?

Podnosiła się z twardego łóżka, otwierała kufer i oglądała przywiezione stroje. Pakując się, wybierała najskromniejsze sukienki ze swojej szafy, ale teraz, w porównaniu z ciemnymi ubraniami eremanckich kobiet, nawet te wydawały jej się zbyt wymyślne.

Oprócz sukni w kufrze były również zwoje papieru i pudełko z węglem do rysowania. Maria Anita wyjęła je i powoli zapełniała kolejne arkusze, tym razem nie obrazami roślin, minerałów i zwierząt, które rysowała dla Torcata, ale scenami z dawnego życia, tymi samymi, które wiele lat później oglądała jej prawnuczka.

Rysunki pojawiały się przed Teresą w przypadkowej kolejności. Choć zdarzenia z dzieciństwa przeplatały się z pejzażami z kolonii albo migawkami z balów, dziewczyna doskonale rozumiała historię, którą opowiadała prababka. Niewidziane nigdy wcześniej twarze, budynki i krajobrazy zdawały się jej znajome. Każde spojrzenie na naszkicowane kształty przynosiło nie tyle uczucie odkrywania, ile wydobywania ukrytych wspomnień.

Jedynie ostatnia scena, czy to za sprawą przypadku, czy świadomego działania Ines, która celowo odłożyła ją na koniec, była zgodna z prawdziwą chronologią wydarzeń. Rysunek przedstawiał prababkę w malutkim zagraconym pokoiku w domu Gomezów. Kobieta siedziała przy stoliku, dokładnie w tym samym miejscu, gdzie teraz stała Teresa. Maria Anita trzymała w ręku kawałek węgla, jej głowa nachylała się lekko nad niedokończonym szkicem.

Spojrzenia prababki i prawnuczki spotkały się na moment i w oczach kobiety na rysunku Teresa wyczytała dalszy ciąg jej losów.

Zobaczyła, jak Alba, starsza siostra Marii Anity, zapukała do drzwi jej pokoju, trzymając w ręku jedną ze swo-

ich dawnych sukien. Kilka dni później Maria Anita, już w stroju ciemnym, prostym i pasującym do Eremanty, poszła z całą rodziną do kościoła. Spotkanie z ojcem Herbertem, pierwsze od czasu dramatycznych wydarzeń w górach, nie należało do przyjemnych.

— Twój opiekun obiecał mi sto realów — oznajmił dziewczynie, odciągając ją na bok.

Maria Anita przez chwilę patrzyła na niego bez zrozumienia, wreszcie pojęła, czego od niej oczekuje. Rozłożyła bezradnie ręce, wskazując, że nie ma przy sobie pieniędzy.

— A w domu?

Dziewczyna kiwnęła głową i kilka minut później wyciągała z podróżnego kufra niewielką sakiewkę.

— Za mało — powiedział Herberto, przeliczywszy monety. — Wezmę jeszcze to — wskazał kufer i gestem nakazał jej go opróżnić.

Patrząc, jak dziewczyna posłusznie przekłada do szafy znajdujące się w skrzyni ubrania, po głowie zaczęła mu krążyć pewna myśl. Maria Anita nie przypominała już tej dumnej kobiety, która wraz z uczonym Torcatem pojawiła się w Vila Famalio kilka tygodni wcześniej. Jej elegancki strój został zastąpiony prostą suknią, spojrzenie straciło blask. Jednak w oczach księdza płacz i cierpienie stanowiły niewystarczającą karę. To przecież na Marii Anicie spoczywała odpowiedzialność za złamaną karierę i życie Herberta.

— Jako pokutę za grzechy przyjmij, co następuje — zagrzemiał, stojąc w progu pokoju, w jednej ręce trzymając sakiewkę, a w drugiej kufer. — Każdego ranka, przez godzinę, jeszcze przed świtem, będziesz wzorem Matki Boskiej modlić się pod krzyżem stojącym przed kościołem.

I wyszedł, myśląc z zadowoleniem, że to wyjątkowo stosowna pokuta dla kogoś, kogo niegdyś uważał za cudowne wcielenie płaczącej Maryi.

Maria Anita zaczęła zatem wymykać się każdego ranka z domu i spędzać godzinę pod figurą Chrystusa. Nigdy wcześniej nie należała do pobożnych. Choć Torcato nalegał, aby wychowankowie uczyli się psalmów i hymnów, traktował modlitwy wyłącznie jako pożyteczne narzędzia manipulacji. Uczucia religijne były mu obce i Maria Anita, chcąc nie chcąc, również przesiąknęła sceptycyzmem. Do kościoła w Eremancie udała się tylko dlatego, że szła tam cała jej nowo odzyskana rodzina.

A jednak, patrząc, jak pierwsze promienie słońca kładą ruchome cienie na postaci Jezusa i ożywiają drewniane rysy, widziała w jego twarzy współczucie i zrozumienie. Z wdzięczności każdego dnia zostawiała u stóp krzyża świeży bukiet polnych kwiatów.

Teresa zobaczyła też, że z czasem życie w Eremancie stało się dla prababki lżejsze. Maria Anita włączyła się w życie rodziny i wioski, odkrywając niezwykłą łatwość, z jaką przychodziło jej komunikowanie się z eremantczykami. Z opóźnieniem zdała sobie sprawę, jakim ciężarem było życie wśród ludzi, którzy porozumiewali się na głos. Nawet z Torcatem, mistrzem w posługiwaniu się językiem migowym. Nawet z Izaakiem, który posiadał jej serce i którego uważała za najbliższą sobie osobę.

A teraz czuła się lepiej rozumiana przez niepiśmiennych wieśniaków, którzy nigdy nie postawili stopy poza granicami prowincji Vila Famalio. Oni nie używali żadnego języka, ani składającego się z dźwięków, ani takiego ze sztywno dopasowanych znaków, ale ich intencje zawsze rozpoznawała bezbłędnie.

Z każdym dniem mocniej wtapiała się w zrujnowany krajobraz wioski, jakby nigdy nie tańczyła w najświetniejszych balowych salach i nie spacerowała pod prażącym słońcem dalekich krajów. I tylko podczas porannych wędrówek z bukietem w ręku wspominała o Torcacie, Samuelu i Izaaku. Nigdy nie porzuciła zwyczaju modlitwy o świcie, choć dwa lata po jej przybyciu do wioski zmarł ojciec Herberto, a nauki jego następcy miały znacznie łagodniejszy charakter.

A później Teresa zobaczyła ślub Marii Anity z Danielem Gomezem, przeprowadzkę do siedziby Gomezów i narodziny dwóch chłopców. W młodszym, Marcu, Teresa rozpoznała własnego dziadka, choć ten zmarł, zanim pojawiła się na świecie.

Zobaczyła długi ciąg lat wypełnionych pracą, suche i mokre wiosny, lepsze i gorsze zbiory, dorastające dzieci. Ślub starszego syna, potem młodszego. Marco przyprowadził do domu wysoką, piękną kobietę, która w niczym nie przypominała babki Sofii takiej, jaką znała Teresa.

Była świadkiem narodzin Victora i Ines – widok matki jako niemowlaka zawstydził ją. Kilkanaście lat później nadszedł dzień, kiedy wędrówka do kościoła stała się niemożliwa dla posuniętej w latach Marii Anity i zwyczaj składania kwiatów u stóp drewnianego Chrystusa przejęła Ines.

Wreszcie zobaczyła, jak w pewne niedzielne popołudnie w domu Gomezów pojawia się jej ojciec i prosi o rękę jej matki. Pedro miał na sobie sztywne, świąteczne ubranie. Był bardzo młody. Maria Anita kołysała się w bujanym fotelu i spod przymkniętych powiek spoglądała na przyszłego męża wnuczki. Rozmyślała nad tym, co naprawdę kryło się za przestraszonym wyrazem jego twarzy.

Teresa wzdrygnęła się, jakby zbudzona ze snu. Jeszcze raz spojrzała na rysunek na stole, ale tym razem zobaczyła tylko linie nakreślone węglem, jasne i ciemne plamy. Podniosła głowę i wyjrzała przez okno. Pokój Marii Anity leżał na poddaszu, więc sąsiednie budynki, nie tak wysokie jak dom Gomezów, nie zasłaniały widoku na Eremantę. Wieś była pusta, nawet psy pochowały się przed żarem południowego słońca. I tylko na odchodzącej od rynku uliczce pojawiła się samotna sylwetka. Teresa wyteżyła wzrok, próbując zobaczyć twarz przechodnia, ale przysłonił ją cień kapelusza. Z pleców mężczyzny zwisał worek fasoli, a w ruchach było coś znajomego, ale jednocześnie nowego i intrygującego. Wędrowiec znajdował się już całkiem blisko, kiedy uniósł głowę i spojrzął na dom Gomezów.

Tak zaczęła się historia miłosna Teresy.

Przymknęła oczy, jak zawsze po przeczytaniu tego fragmentu. Zobaczyła idącego pustą ulicą mężczyznę. Słońce wycinało na ziemi ostry cień jego sylwetki, kroki chrzęściły na piasku. Po chwili hałas urwał się i zapadła cisza. Mężczyzna uniósł głowę – i wtedy wszystko znie ruchomiał.

Lubiła tak na nich patrzeć, na ledwie widoczną w cieniu okna na poddaszu dziewczynę i nieświadomego jej obecności mężczyznę. Zadarta do góry głowa po raz pierwszy odsłaniała jego twarz.

Vermeer, zdecydowała Magda. Vermeer mógłby namalować taki obraz. Ale nie nadałby mu, jak miał w zwyczaju, długiego, opisowego tytułu, na przykład *Dziewczyna wyglądająca przez okno*. Nazwałby go po prostu *Początek*.



powergraph

powergraph.pl
sklep.powergraph.pl